

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 44. Warszawa, dnia 23 Października (4 Listopada) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	„ 4 —
kwartalnie	„ 1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie	„ „ 50	w Prusach „	24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

NIEWIARA WE WŁASNE SIŁY.

Długo, och długo przemawiano do nas jak do niepoprawnych dzieci, które przestrzegane tysiąckrotnie zawsze jednakowo broją. Mówiono nam: nie wiecie co jest porządek i oszczędność, co zgoda i siła zjednoczonych dążeń, co wytrwałość i mrówcza praca; zapomnieliście, do czego was doprowadziła prywata, życie nad stan, zapalność waszej fantazyi i nieład myślenia: nie nauczyliście się miarkowania zapału, systematyczności, karnego zachowania się w obec interesów i zawikłań społecznych. Prawiono jeszcze bardzo wiele o usuwaniu się od obowiązków, o zgniliźnie panującej wśród arystokracyi, o nędznym stanie moralnym i materyjalnym klasy średniej, o braku godności osobistej w masach i o wielu innych wadach, usterkach i słabościach naszego społeczeństwa. Potrzebaby już nawet osobny regestr układać, ażeby wyszczególnić wszystko to, co nam obcy zarzucali i do czegośmy się sami przyznawali.

Nie myślę ja przeczyć, żeby w zarzutach tych i przyznaniach się nie było większej nawet połowy prawdy, co więcej utrzymuję, że takie wytykanie wad i słabości jest rzeczą konieczną w każdem społeczeństwie, a tembardziej w takiem, które dąży do pokrzepienia sił swoich moralnych i zasobów materyjalnych.

Wszystko to święta prawda. I dla tego też jak dotąd tak i na przyszłość szukać będę i wykazywać, o ile mi na to starczą zdolności, usterki i choroby, społeczność naszę trapiące. To mi jednakże nie przeszkadza zauważyć, że gwałtowne nastawanie na ciemne strony naszego społecznego ustroju umacnia w masach to szkodliwe a od dawna zakorzenione przekonanie, że my sami nic zrobić nie możemy, że w nas wyschło źródło życia, żeśmy jedynie zdolni do łatania naszych interesów *z dnia na dzień*. Człowiek, któremu wiecznie kładą w uszy kazanie o jego głupocie i niezdatności, w końcu zgłupieć może z kretesem i stać się niezdolnym do niczego. Społeczeństwo, co prawda, większą posiada energiję życiową i do ostateczności zniedołężnienia nie tak łatwo doprowadzić się daje; odczuwa jednak boleśnie w organiźmie swoim te ciosy, które jego energiją paraliżują. Wystawiającym błędy i ułomności społeczeństwa idzie bez wątpienia o zapoznanie z chorobą i o zalecenie albo zastosowanie lekarstwa; ale znaczna część chorych bynajmniej nie bywa zadowolona z odkrycia słabości i woli ją ukryć przed sobą, aniżeli gorzkie przyjmować lekarstwo. Stąd też częścią przez wstyd fałszywy a częścią wskutek osłabionej wiary w swe siły, nie szuka energicznych środków ratunku, wegetując gaśnie powoli.

Nam idzie o życie, o życie w pełni rozwoju i blasku. Nam potrzeba siły i środków do życia, a przedewszystkiem potrzeba nam wiary w swe siły i środki. Nie tej zaiste wiary ślepej, niedorzecznie zakochanej we własnej osobie, co się pyszałkowatością i zarozumiałem lekceważeniem innych objawia na zewnątrz; ale tej wiary rozumnej, która nie rozpaczając za byle niepowodzeniem, zawsze się spodziewa wybrnąć z nieszczęścia za pomocą środków rozważnych i do okoliczności zastosowanych. Nie pychy ani zarozumiałości nam trzeba — bo tej mamy niekiedy zanadto; ale rozsądnego zaufania we własnej pracy i własnych zabiegach. Takiej wiary i takiego zaufania we własne siły brak u nas prawie zupełny. Łatwo znajdziemy w społeczeństwie naszem objawy buty i pozowania; łatwo odszukać zarozumiałość miałką i powierzchowną; ale rzetelnej oceny własnego znaczenia, cokolwiek trudniej się dobadać.

My lubimy mówić głośno i buńczuczno, popuszczając wodze fantazyi w szybkim locie po krainie mrzonek; ale też i na wytworach gęby wszystko niemal się kończy. Lubimy też pozować na znakomitości i powagi, lubimy podwyższać swoje figury wysokim postumentem dostojeństw; ale takie postępowanie nie wyprowadza nas po za granice dziecinnej fanfaronady lub małomiasteczkowych intryg. W słowach i projektach umiemy reformować kraj cały od podstaw do szczytów; ale w rzeczywistości zdolni jesteśmy jedynie do utworzenia różnorodnych komitetów....

Chcecie przykładów, chcecie dowodów? Ależ miły Boże! dość przejrzeć karty niektórych pism notujących ważniejsze sprawy społeczne, ażeby się o prawdzie słów powyższych najdowodniej przekonać. Czyż zapomnieliście o krzykach podniesionych na Niemców, o rozprawach dotyczących krajowego przemysłu i handlu, o pożytecznem a nie przyjemnem tylko wykształceniu kobiet; o zbadaniu kraju pod względem przyrodniczym i ekonomicznym, o zakładaniu czytelni na prowincyi, o podniesieniu nauczycielstwa wiejskiego, o rozumnem użytkowaniu z praw przysługujących obywatelstwu, o praktycznym kierunku

wychowania i t. d. Pamiętacie zapewne to wszystko. A teraz, cóż pod tym względem zrobiono?

Czy wydobywanie płodów surowych z głębi ziemi zostało umiejętnie uorganizowane i do możliwych granic rozciągnięte?

Czy przeróbka tych surowych płodów w kraju dokonywa się w większych masach aniżeli dawniej?

Czy handel wywozowy zrównał się przynajmniej z handlem przywozowym?

Czy liczba Niemców przybywających do naszego kraju zmniejszyła się lub też liczba Niemców zajmujących wysokie stanowiska płatne w przemyśle została zamieniona choć w pewnej części na krajowców?

Czy zaprowadzono ogród zoologiczny, czy też utworzono jedynie komitet?

Oczywiście mógłbym stawiać takie pytania przy każdym z projektów, które powyżej wymieniłem, lecz sądzę że dość potrącić tę dysharmonijną strunę, ażeby sama przez długi przeciąg czasu niemile w uszach naszych brzmiała. Stąd też zostawiam czytelnikom dosłuchiwanie się tych smutnych dźwięków o naszej niezaradności świadczących; a sam zapytuję już tylko, czemu przypisać, że taka masa pięknych projektów zostaje tylko w sferze myślenia a nie przechodzi w krainę życia, w krainę czynu?

Na takie pytanie można by odpowiedzieć kilku słowami o trudnem położeniu, kilku frazesami o braku środków materyjalnych, dla przeprowadzenia najpiękniejszych pomysłów, a skończyć filozoficznem rozmyślaniem o przepaści rozdzielającej słowa od czynów.

Nie przeczę ja ani trudności położenia, ani smutnemu stanowi naszych materyjalnych interesów, ani też filozoficznym refleksyjom; sądzę jednak, że następujące słowa które uważam za prawdę, znajdą choć częściowe uznanie.

Trudność położenia częstokroć sami przeceniamy, nie znając, jak się należy, społecznego i państwowego ustroju, nie znając praw nam należnych a ciągle tylko myśląc o obowiązkach nad nami ciążących. Potrzeba oba te względy ze sobą połączyć; potrzeba wiedzieć dokładnie, co się nam należy a cośmy sami winni; a wówczas potrafimy usunąć trudności wydające się nam nieraz olbrzymiemi.

Rzecz się ma z nami poczęści tak jak z chłopcem, który skakając przez rowy szerokie potłukł się kilka razy, wówczas najmniejsza szczelina przepaścią mu się wydaje. Nie! chłopcze luby, szczelina jest szczeliną a przepaść przepaścią, jednę przejdź spokojną nogą a przy drugiej szukaj innej drogi, a jeżeli nie zdołasz znaleść, zbuduj most i idź znów spokojnie i wytrwale.

Z powyższemi trudnościami łączy się rzecz o naszych środkach materyjalnych. Małe są one, prawda i chociaż powiedział poeta: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, panie!“ nie myślę się upierać przy jego zdaniu. Jednakże i tu również wielką gra rolę nieznajomość rzeczy, t. j. nieznajomość zasobów zawartych w łonie ziemi, nieumiejętność w ich wydobywaniu, brak wiadomości elementarnych zasad ekonomiki. Oto niedawno czytałem, że Czarnogóra, licząca tylko 200,000 mieszkańców to jest mniej niż Warszawa, pod względem ekonomicznym sto razy wyżej od nas stoi. Przecięciowo bowiem handel wywozowy w tym kraiku liczą na *milijon* franków a przywozowy na cokolwiek więcej nad *trzykroć sto tysięcy*. Czyż Warszawa może się czemś podobnem pochwalić? A wszakże Czarnogóra to kraik biedny, skalisty, niepoczesny i w połowie nieurodzajny... Ktoś może powiedzieć, że my nie jesteśmy barbarzyńcami jak Czarnogórcy i potrzeby nasze są milijon razy liczniejsze od ich potrzeb. Zapewne! Tylko, że cywilizowane narody dla zaspokojenia swoich potrzeb szukają źródeł dochodu w swoim kraju; ale nie wywożą kapitałów zagranicę, a więc tak postępują, jak owi barbarzyńscy Czarnogórcy. My zaś wysoce ucywilizowani nie żyjemy z dochodów, ale z kapitałów. Przypominam sobie jak jeden profesor niemiecki w lipskim uniwersytecie, prorokował, że w królestwie Polskiem za lat 30 lasów wcale już nie będzie! Bodajby przepowiednia jego się nie sprawdziła, ale doprawdy smutno słyszeć i patrzeć na te objawy politowania nad naszem gospodarstwem, jakie zagranicą łatwo dostrzedz. Nie na brak tedy zasobów materyjalnych, ale na złe ich użytkowanie skarżyć się wypada.

Co się wreszcie tyczy przepaści oddzielającej słowa od czynów, uznajemy jej istnienie; dodajemy atoli przytem, że przepaść tę ludzie własnemi wykopali rękoma. Gdyby ludzie mówili tylko o tem, co się da wykonać, toby łatwo im przyszło słowa swoje w czyn zamieniać. Ponieważ zaś dzieje się inaczej, nie możemy się dziwić, że wiele projektów idzie na marne. To nas jednak zrażać nie powinno. Byłoby bowiem wprost przeciwnem naturze ludzkiej, zamykać ją w ciasnych szrankach rzeczywistości obecnej, nie dozwalając choć myślą wzlatywać w krainę *możliwych* ideałów. Nie o wytępienie więc projektów, nie o przytłumienie myśli nam chodzi; ale o to, ażeby z dziesięciu projektów urzeczywistniało się przynajmniej sześć i żeby dziesięciolecia potrzebne częstokroć do zrealizowania pewnej idei, na sześciolecia przemienić. Wymagania te są skromne a jednak praktyka ograniczyć je znacznie jeszcze może. Dzieci tylko zrażają się zwłoką, bo nie nauczyli się czekać, niebądźmyż dziećmi.

Z powyższego przekonywamy się, że przedewszystkiem brak wiary w możność polepszenia bytu naszego własnemi siłami paraliżuje nasze przedsięwzięcia, zabija projekta, wprawia w apatyczną bezwładność. Ludzie pojedyńczy tu i owdzie wybijają się na wierzch, dobijają się znaczenia, rosną w potęgę i sławę. Zagranica oddaje sprawiedliwość wielu naszym uczonym, adwokatom, inżynierom, przemysłowcom. Widocznie więc zasada samopomocy zastosowana do indywiduum wydaje świetne rezultaty. Widocznie, są wśród nas skarby, których i zagranica zazdrościć nam może. Tylko ogół, tylko massa społeczna w żaden sposób podźwignąć się nie może. Potrzeba więc ideę samopomocy przenieść od indywiduów do społeczeństw; potrzeba prawdy szczegółowe uogólnić i zastosować do mas, do ogółu...

Tę myśl chcieliśmy obudzić w umysłach czytelników naszych. Jeżeli obudzoną zechcą zbadać, nie wątpimy że dojdą do rozleglejszych widoków, aniżeli te, któreśmy byli w stanie w tym artykuliku wystawić. Ja tylko na zakończenie streszczę w najogólniejszych słowach główne myśli mojego rozumowania.

Do zdziałania czegokolwiek trwałego, brak nam wiary we własne siły. Wiara ta śpi w głębi serc naszych. Jak ją obudzić? Nie inaczej jak tylko dokładnem poznaniem samych siebie. Ażeby poznać samych siebie potrzeba:

1° Zbadać położenie społeczne w którem się znajdujemy.

2° Poznać zasoby własnego kraju i nauczyć się z nich użytkować.

3° Na podstawie tych wiadomości wyrobić w sobie przekonanie, że zasada samopomocy, zastosowaną być winna nie tylko do jednostek, ale i do społeczeństw całych.

Jeżeli dojdziemy, do tego ostatniego przekonania, nie ulega wątpliwości, że wiara we własne siły będzie towarzyszką wszystkich naszych projektów, postanowień i czynów. Od rozszerzenia tego przekonania na coraz większe masy, zależeć będzie stopień naszego dobrobytu.

Dr. P. Chmielowski.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(ciąg dalszy)

Podkomorzyna urządziła się prędko w nowem mieszkaniu; widziałam jak marmurową Wenus, Marsa i Wulkana wynoszono z salonu, a na ich miejscu postawiono posągi ludzi, co swojem życiem na cześć zasłużyli. Kosztowne cacka pani Küks zastąpiły książki, koszyki z robótką i inne użyteczne sprzęty. Już o szóstej rano wszyscy na nogach, piją herbatę, idą do kościoła; za powrotem dziewczynki zasiadają do nauk pod przewodnictwem Johanny, a chłopczyki z nauczycielem swoim panem Joachimem. Godzinę przed obiadem przechadzają się po ogrodzie rade z zieleni i starego żórawia, co rozdrażniony straszy ich dziobem. Pod wieczór zamykają się książki, składają kajeta, wychodzą wszyscy na przechadzkę za miasto.

Nie spotkałam u podkomorzynej żadnego z gości szlifujących posadzki pani Küks. Jeden tylko stary kawaler, koniuszyc Rydz, daleki krewny podkomorzynej, odwiedzał ją niekiedy.

Towarzystwo pani podkomorzynej składało się z ludzi światłych i miłych. Zbierało się nieraz liczne grono różnego stanu i wieku, a szyderstwa i nudy prawie tam nie spotkać było.

— A wiecież państwo, mówił pewnego wieczoru koniuszyc, że na przyszły karnawał mało zjedzie się osób. Doprawdy nie pojmuję, czemu się nie bawią, czemu się rozprzęga świat piękny, czemu salonowej młodzieży coraz ubywa. Pani Fortunata nie przybyła podczas przeszłej zimy i wiele na tem straciło towarzystwo. Dawała na wsi rauty dla zagrodowej szlachty i włościan. Naśmiała się z ich prostactwa, ubawiła ich naiwnością, zato wyde-

ptali jej posadzki, zabrudzili eleganckie sprzęty, w skutku czego kadzidła potem wyszło za parę dukatów.

— Widać, że pani Fortunata chce się bawić w popularność, odezwał się pan Stanisław Sybilski.

— Bardzo wątpię... pobawiła się chwilkę i basta. Ja sam bywając u siebie wychodzę często na wieś, bo mnie bawi prostota a zadziwia chytrość.

— To konieczne następstwo stanu i położenia, odezwał się Joachim. Czy jednak nie dziwniejszą jest rzeczą, że przy takich warunkach, zachowały się poczciwe serca i zdrowe pojęcia, zdolne do wykształcenia?

— Temu nie przeczę, znam nawet kilku pomiędzy nimi prawdziwie wykształconych i szlachetnych; ale przyznam się że nudno i zmudno szukać pereł w błocie.

— I na to zupełna zgoda: lecz gdzie są perły tam jest i błoto.

— Mam nawet krewnych, co radzi podać rękę ciemnej swej braci. Nie każdy wprawdzie dobrze na tem wyszedł, lecz kto się raz oddał jakiej myśli, nie wiele dba o nieodłączne z nią przykrości. Dziś zresztą moda grać na tę nutę. Gdyby to było zależało odemnie, dawno uwolniłbym był wszystkich. Przecież kiedyś głosowałem za tem. Dziś takich jak ja nazywają próżniakami; co to komu szkodzi? Niech do mnie dzisiaj stu wieśniaków przyjdzie i powie że się chce uczyć, chętnie im dopomogę, jak już nie jednemu to uczyniłem.

— Proszę więc przyjąć i odemnie w ich imieniu podziękę i wdzięczność.

— A cóż to pana obchodzi?

— Bo należę do tych, którym pan rad dopomódz. Rodzina moja żyje dotąd po staremu. Dopókim nie poszedł do szkół, pracowałem jak inni mego wieku i stanu. Naprzód panicz nauczył mnie czytać i pisać, jak uczył każdego kto tylko miał chęć do tego. Potem z nim razem, skończyłem szkoły i uniwersytet. Teraz, dzięki Bogu, żyję o własnej sile, niewstydząc się wcale mojej przeszłości.

— Przyjmże nawzajem mój szacunek i wdzięczność w imieniu tych, którzy w swych wychowańcach, podobne pańskiemu wdzięczne znaleźli serce; i w imieniu tych, którzy zawiedli się osobiście, lecz się cieszą z powodzenia innych, rzekł koniuszyc i serdecznie uścisnął rękę Joachima.

— Cóżto, pan koniuszyc dziś nie *bostonuje?* przerwała marcowa panna Palmira, częstując go tabaczką ze złotej tabakierki.

— Kiedyż tu i stolika nie ma.

— Szkoda, służyłabym panu do *partyjki.*

— Chyba do duetu? Nikt tu widać grać nie umie.

— Lub nie może, bo podkomorzyna zalicza karty do grzechu przeciw siódmemu przykazaniu.

— Jakto? Niechże ksiądz Jan powiedzieć nam raczy, czyż to nie dziwactwo, nie kaprys?

— Zaiste: kradzież czasu jest takimż grzechem jak i każdy inny, a gorszym w następstwach od wszystkich innych, bo do upamiętania nie przywodzi grzesznika. Zresztą przekonywa statystyka, że ilość grających w karty, jest w stosunku odwrotnym do ilości światłych, moralnych, czynnych i pożytecznych członków społeczności.

— Więc i jam grzesznica, bo lubię bostona.

— Tyś rzekła. Ja dodam że niewiadomość grzechu nie czyni; lecz kto wie o grzechu i popełnia go, grzeszy podwójnie.

— Ach ciotuniu, ciotuniu! Chodź na odsiecz! Ja ginę i my wszystkie giniemy bez ciotuni przypadając do panny Palmiry, zawołała panna Narcyza, porwałają za rękę i obie poszły do innego kółka w przyległym pokoju, gdzie same kobiety gwarzyły zapalczywie.

— O co tu idzie?

— Ach nie wiesz, nie wiesz panno Palmiro rzekła pani Hersylija. Barbarzyństwo, istne barbarzyństwo a toż tu na modę jak na wilka hurmem krzyczą!

Tu sypnął się grad pocisków za i przeciw modzie. Obie strony niczego dowieść nie mogły w zapędzie, przerywając sobie dysputy nawzajem. Gdy każda strona gada, żadna nie słucha, obie znużyły się doskonale i postanowiły jednogłośnie odpocząć, zjeść lodów, i zaprosić panią Mieczysławową, świeżo przybyłą z Paryża na sąd kompromisarski.

Pani Mieczysławowa, była to kobieta uderzającej piękności i wdzięku, w postaci, ruchach i twarzy. Lornetkowy, wymuskany motłoch włóczył się za nią wszędzie, i serenady pod jej oknami wyprawiał w Neapolu, Wiedniu i Paryżu.

Wśród lodów, śmiechu i gwaru, przyszła zaproszona Mieczysławowa i wysłuchawszy obustronny wywód sprawy, rzekła:

— Twórcami mody są w Paryżu kobiety takie, z jakiemi nikt przyzwoity nie wita się na ulicy. One to występują w dziennikach mód tamecznych. Z dziennikami rozbiegają się malowane po świecie i odradzają się w żywych odbitkach tem dokładniej, im te odbitki bliższe obyczajem a dalsze przestrzenią od swych wzorów.

— Jednak cały Paryż naśladuje te wzory, przerwała panna Palmira.

— W Paryżu świat piękny nie zna tych wzorów, ani żywych ani malowanych. W Paryżu jest stale każda moda pod strażą gustu, prostoty, czystości, a dziś i wygody z uwagi na zdrowie. Na tej kanwie ruch społeczny haftuje swe kwiaty rozmaitej barwy, do wolnego wyboru potrzebujących. Widziałam nieraz różne suknie u kilku siostr, z jednej materyi przez jednego krawca razem uszyte, kiedy my chcemy koniecznie, co do fałdki wyglądać jak zbiegi z *żurnalu.*

— Ależ wyśmieją się, gdy się która ubierze inaczej wtrąciła panna Telimena, według ostatniej wyfijokowana mody.

— Prawda, niemiło jest kiedy się z nas śmieją, ale gorzej gdy zasługujemy na to. Niechże więc lepiej śmieją się z naszej ogłędności niż ze zgubnego wietrznictwa. Mój dziadek mawiał: *Pies szczeka i na Bożą mękę.*

— Więc cóż począć? przemówiła mdławego oka, pulchna blondynka.

— Jak każdy powstrzyma się od niedorzecznego śmiechu, to się nikt śmiać nie będzie. Nieco więcej miłości szlachetniejszych zatrudnień, poczucia własnej godności, a znajdzie się odwaga. Wówczas niezawodnie wyrobimy własne mody, stosowne do potrzeb naszego klimatu, zatrudnień, obyczaju i środków. Francuz niezbyt zakochany w Angliku a przecież nie śmieje się z niego, że ma inne od paryskich mody.

— A więc niepotrzebnie jeździmy za granicę, jeżeli możemy mieć wszystko we własnym kraju.

— Podróż pod tym tylko warunkiem nie jest grzechem, gdy się jedzie z pewną oznaczoną myślą, a wraca z istotnym pożytkiem. Najświeższą i coraz powszechniejszą modą jest ta, którą ludzie rozsądni całego świata przyjęli.

— Jakaż, jaka zaszczebiotało kilka głosów.

— Nie wydawać nad ściśle obliczoną możność. czyli raczej, wydawać mniej nad możność, Tak tam postępują wszyscy i wszystkie, oprócz tych, którym grosz łatwo i manowcami przychodzi, lub tych co mają więcej pieniędzy jak rozumu.

— Wolno mieć fantazyje za własne pieniądze, wtrąciła znowu Palmira.

— Wolno temu, kto mieszka sam jeden w pustyni. Kto zaś zamieszkał wśród ludzi, powinien się z tem obliczać. Kto wydaje nad możność, prędzej czy później stanąć musi na rozdrożu zależności, skąd najczęściej zawróci, traktem nędzy i spodlenia.

— Pani wyraźnie proteguje skąpstwo?

— Bynajmniej tego nie zalecam. Skąpstwo, to roślina śmierci, wyrasta tylko z pleśni rozumu i serca, więc ją za pokarm życia podawać nie można. Słusznie Rej mówi:

„Skąpiec jest jak na skale jagody,
Ludziom nic po nich, jedno wronom gody.“

— Jedni to nazywają skąpstwem co inni rozrzutnością. Jakże tu ludziom wygodzić?

— Trzeba dogadzać zasadom, jakie mamy z wiary i dziejów. O tych wiemy z poczciwego wychowania. Widomej miedzy oznaczyć w obszarach rozrzutności i skąpstwa nikt nie potrafi.

— Trzeba słuchać rad i przestrog starszych odezwała się jakaś staroświecka babunia.

— Dobre są rady i przestrogi lecz rychło przesycają i nudzą. Lepiej sercem w serce przelać zasady szlachetne, podnieść ponęty życia do wyższej miłości swych obowiązków. W każdym zaś kroku życia zapytać siebie: czy to co czynimy jest dobrem tak względem nas samych jak i względem ludzi? Wówczas znajdziemy radę u siebie a z czasem dojrzeje w nas poczucie prawie bezwiedne wstrętu lub pociągu, co nas ostrzeże, gdzie fałsz lub prawda w jakimbądź pozorze. To poczucie nam wskaże, że i łokieć wstążeczki niepotrzebnie kupiony jest rozrzutnością, a ofiara całego mienia lub życia nie będzie marnotrawstwem.

W tem podano herbatę, kilka osób zbliżyło się do rozprawiającego kółka, rozmowa wzięła inny obrót, a panna Telimena popijając napój chiński rzekła do obok stojącego doktora:

— Doktorze, mój doktorze! ratuj mnie, bo umrę z bezsenności.

— Co to, czy pani piwo pije?

— A to grzeczne pytanie.... Przecież to ta sama herbata co i w pańskiej szklance.

— Teraz dobry ton niepozwala pić tęgiej herbaty, a jak pani tego tonu posłucha, sen niezawodnie powróci

— Sen leki przynosi nieraz marzenia,

któreby można porównać z fantazyją poety powiedziała panna Rozyna, blada brunetka.

— Marzenia są zawsze prawie skutkiem gorączki, odrzekł na to doktor.

— Ja nigdy nie marzę, bo jak się dorwę do łóżka, to śpię jak zabity dodał o rumianej twarzy rubaszny pan chorąży, przybyły ze wsi po apteczkowe zapasy dla żony i nuty dla córek.

— Wieleby można o snach powiedzieć, lecz są sny o których trudno zapomnieć. Są to jakby echa miłych lub bolesnych wrażeń, jakich się we dnie doświadcza. Ja sam nieraz dziwaczne sny miewam, mówił Stanisław, schorzałego lecz pięknego oblicza człowiek.

— Niechże nam pan Stanisław choć jeden z takich snów opowie; prosiły zaciekawione kobiety.

— Przed kilką dniami wróciłem z miasta smutny i rozdrażniony: chciałem się pomodlić, nie mogę; chciałem usnąć, nie mogę, bo i sen z powiek ucieka.

Wychodzę na balkon, błąkam myślą po górach. Osrebrzone księżycem stają przed memi oczyma.... Góra Bekiesza, góra Trzykrzyska przyjęły moję myśl zbłąkaną, lecz nie na długo: wróciła ciężka i smutna.

Dnia tego starłem się w świecie z nadto widomym egoizmu rachunkiem: widziałem jak rodzice sprzedawali w małżeństwo staremu bogaczowi młode niewinne życie. Widziałem jak chciwy pająk miał opleść nieświadomą przyszłości rozwijającą się różę. Cały ten dzień był dla mnie smutny i noc zaszła przykra, a bijąc się z myślami, zdrzemałem ledwo nadedniem.

Widzę siebie w świątyni bożej: pełno w niej ludzi stoi po prawicy i po lewicy. Galeryja cała zapełniona aniołami. Wychodzi ze mszą kapłan siwy, pobożny, cały w sobie zebrany. Na prawicy głęboka cisza, wszystkich oczy i dusza toną w ołtarzu.

Na lewicy szmer, w oczach martwość, w ustach szepty jak sykanie wężów.

W świątyni ponuro, zdaje się że ściany nasiąkłe łzami, tylko skrzydła górnych aniołów puszą się i migocą.

Podczas ofiarowania wpadło do świątyni słońce, osypało kielich tysiącem promieni, chodziło po aniołach, zabłysło na prawicy.

Lewica, jak w grób zasunięta, słońce od niej uciekło. W tej chwili aniołowie zrzucili na lewicę żałobne kiry; zamieniła się w mgnieniu oka w jeden trup olbrzymi, a cała prawica opromieniona słońcem, okryta aniołów skrzydłem.

Jakaś kobieta wysunęła z pod kiru białą jak marmur rękę, błysnęła czarnem rozpaczliwem okiem i zawołała: Ratujcie mnie! Ratujcie! Jam lepsza od nich, jam raz tylko skłamała sercu a oni zawsze kłamali!

Nikt nie ratował dumnej grzesznicy, a na całej lewicy były jęk i trwoga.

Nad ołtarzem zawisła promienna korona, aniołowie i prawica, jaśni jak dzień majowy.

Na tem sen mój się zakończył, gdy jeden z moich znajomych do drzwi zastukał wołając: że już dziewiąta. Wrażenie snu tego na długo zostanie, a mszy tej i oblicza kapłana nigdy nie zapomnę.

— Wszakże Zbawiciel przyrzekł być zawsze ze swemi uczniami nietylko w duchu i prawdzie lecz i osobiście w ciele i krwi ołtarza, powiedział ksiądz Jan.

— To sen cudowny; szczęśliwy pan Stanisław, odezwał się chorąży.

— Przecież każdy z nas żyje cudem wśród cudu, tylko że tego widzieć nie chcemy. Patrzcie panowie na to kółko na prawo: są to trzej urzędnicy, co za kilka rubli na miesiąc muszą się przyzwoicie utrzymać, wykraść godzinkę dla książki i nieutopić w atramencie swojej poczciwości. Czyż to nie cud?

Nikt słowom Stanisława nie zaprzeczył, lecz każdy poczuł wdzięczność dla podkomorzyny, że miała drzwi otwarte dla biednej młodzieży. I ledwo kilka było takich domow w mieście, gdzie młodzież bawiąc się wesoło kształci swe serce, z rąk do rąk podaje sobie pracę, z duszy do duszy miłość prawdy i wszystkiego co piękne, światłe i poczciwe.



Burza w lesie.—Rysunek Kamińskiego.

V.

„Wpół zmroku wpół świtu, świat i ludzie są cieniem."

Już sierpień, coraz rzadsze grzmoty i pioruny, noce chłodniejsze, ale za to drzewa bogate w owoce. Rumienią się jabłka, złocą się gruszki i poddostatkiem wszystkiego. Przechadzki po ogrodzie i po za miastem są jesz-

czcze bardzo przyjemne, chociaż słowik ucichł, kukułka umilkła i jeden tylko skowronek wznosi się wysoko i śpiewa wesoło. Bociany młode probują skrzydeł, żórawie kupią się do gromady radząc o dalekiej wędrówce. Zielone liście i kwiatów obficie, ale gdzie niegdzie przebija i pożółkły listek, wyglądający jak suchotnik między zdrowem rodzeństwem. Tu i ówdzie zwiędły kwiatek słania się na łodydze, zamyka kielich, chyli do upadku.

Przyszła i noc *rabinowa* raczej rubinowa siejąca błyskawice, grzmoty i pioruny wzmowie z wichrami, co tak strasznych chmur namiotą, tyle świateł wyrzucą, jakby sądny dzień nastał, jakby już słychać trąbę archanioła.

— Dawnoż z drogi, pytała podkomorzyna.

— Od kilku godzin. Zaledwie otrząsłem się z pyłu i jestem.

— Jakże posłużyły wody karlsbadzkie?

— Jestem zdrowszy, a gdyby nie tęsknota która mnie pobijała, sądzę, że byłbym już zdrów zupełnie.

— Dzięki Bogu że tęskniłeś panie Zygmuncie, wielka to roskosz kiedy jest tęsknić do czego i do kogo.

— Dużoś tam napotkał znajomych i chorych? zapytała Johanna.

— Bardzo wielu ale nie wszystkich chorych, a właściwie prawdziwie chorych znalazłem stosunek strasznie mały. Do wód zagranicznych, jeżdżą najczęściej dla rozrywki lub przekona że się leczyć powinni? Od kogoż przyjmą jedynie skuteczne dla siebie lekarstwo, zamiłowanie szlachetnej pracy?

— Tacy Łazarze, dobre dają wyobrażenie o prawdziwie zdrowych, wtrąciła panna Johanna.

— Napisy na Wendomskiej kolumnie odpowiadają na to, rzekł jej Zygmunt.

— Prawda, aleś mówił, że nas cenią za grzeczność tylko i odwagę. Odważny i grzeczny, ma u nich wieloliczne znaczenie. U nich zowie się odważnym Turenijusz, Nej, i każdy awanturnik-rębajło. Grzecznym, Ludwik XIV, Durok, i każdy pustak salonowy.

My tłómacząc po swojemu, mylimy się w znaczeniu słowa i myśli. Nasz *grzeczny*



Góra z ruinami zamku krolowej Bony w Krzemieńcu.

Pod wieczór chmurzyć się zaczęło, powietrze duszne i skwarne; deszcz spadający ciężkiemi kroplami zapowiada burzę. Niekiedy błyśnie i znowu ciemno jak w sercu zbrodniarza. Zdaje się, że anioł zniszczenia żegluje po obłokach i ognistem skrzydłem rozsiewa pioruny po przerażonej ziemi.

Pani podkomorzyna z rodziną i gośćmi siedzi w salonie; nikt nie poci się ze strachu, chociaż wszyscy się korzą przed majestatem grozy. Stary żóraw sierota, bije dziobem w okno prosząc o przytułek, lecz przy huku grzmotów nikt tej prośby nie słyszy. Uderzył piorun, pochylił się żóraw, zatrzepotał skrzydłami i legł martwy na wschodach. W tej chwili wjechała na dziedziniec kareta, wyskoczył z niej mężczyzna otulony płaszczem i wbiegł do pokoju.—Ach pan Zygmunt! zawołali wszyscy. Gość witał uprzejmie znajomych.

dla *dobrego tonu*. Krajowcy niewiele mają szacunku dla tych *włóczykijów*, i zaledwo od bardzo niedawna zmienili mniemanie, iż nasze kobiety są to tylko laleczki powabne i dowcipne, a mężczyźni tyle warci, o ile są grzeczni, odważni i mają w kieszeni.

— Dobra to rzecz złoto ale i bez niego uczciwym być można i potrzeba. Toż Chrystus nie bogacza wskrzesił lecz Łazarza, zauważył ksiądz Jan.

— Alboż złoto zawadza cnocie, zapytał pan sędzia, co kredką i główką dorobił się tęgiego grosiwa.

— Owszem pomaga nawet, gdy jest środkiem nie celem, gdy jest w poczciwem ręku. Zawadza w takich np. chorych o jakich przed chwilą wspomniał p. Zygmunt, co to za grosz ojczysty, obce przywożą zgorszenia. Ich choroba cięższą jest od ran Łazarza, bo któż ich

znaczny *dorzeczny*, po staremu człowiek *g rzeczy*, do wszelkiej rzeczy sposobny. Nasz *odważny* oznacza człowieka, co ważył w sercu i głowie kędy ma pójść na rozdrożach żywota: wyważył co lepsze i poszedł *odważnie*, i nie zejdzie z drogi aż do końca. Chodzi więc o to, by taką odwagą zasłużyć sobie na lepsze imię.

Dzieci podkomorzyny przerwały rozmowę, wnosząc do pokoju ze łzami zwłoki starego żórawia. Wyszły na ganek w spokojniejszej chwili i załamały ręce postrzegłszy swego przyjaciela bez życia.

Rozszalała burza znowu broić zaczęła. Zrywała dachy, łamała wiekowe drzewa, wypierała rzeki z brzegów.

Nazajutrz znaleziono żydówkę jakąś zabitą od piorunu i dziecię tuż przy niej, chociaż ogłuszone tylko, a mówiono wiele o jakimś

szlachetnym młodzieńcu urzędniku, co rzucił się w nurty spienionej Wilii i tonącą w niej rodzinę uratował.

Świat modny uważał to za rzecz prostą i naturalną dla tego, że biedny urzędniczyna musiał nic nie mieć do stracenia, skoro tak się narażał. A przecież miał on wszystko, miał on świat cały przed sobą. Młody, a już zahartowany w biedzie, uczył się, pracował, kochał i wierzył wtedy, gdy nie jeden zawcześnie zużyty pieszczoch z nudów i przesytu w łeb sobie pali.

Skorouciszyła się burza, rozeszli się goście, a nazajutrz mieliśmy się zebrać znowu u pani Dobrosławskiej w cichych borach Zakretu.

Poszłam odwiedzić Rebekę, zobaczyć co się z nią dzieje po burzy, a był to właśnie piątek. Rodzice jej w świątecznych sukniach, czekając na wieczerzę siedzieli drzemiąc w najlepsze. Zajrzałam przez okno, Rebeki nie ma; szukam jej koło domu, nie ma; aż słyszę dźwięki gitary w cienistym szpalerze. Patrzę w głąb', Rebeka siedzi na ławce z gitarą, ubrana po swojemu. Miała na sobie spódnicę żółtą atłasową, obszytą złotym galonem; fartuch biały, bławatny, kaftan aksamitny niebieski; zawój na głowie z pąsowego kaszmiru; pantofelki nowe, wybite białą skórką i cztery sznury prawdziwych pereł, zawieszonych na piersi. Piękna, wspaniała niby druga Estera. Oblicze natchnione, a oczy łzą zaszłe. Wzięła kilka akordów i zanuciła pieśń wygnańców z Jerozolimy.

Nieopodal pod drzewem, stało dwóch mężczyzn. Jeden młody myślącego, miłego oblicza; drugi stary, miał twarz cierpiącą i opierał się na młodzieńcu. Obadwa słuchali śpiewu z uwagą. Po młodzieńca twarzy snuły się snać różne uczucia i myśli, bo w twarzy jego widać wzruszenie głębokie. Wkrótce ucichł śpiew, Rebeka powstała i zabierała się do powrotu, gdy nagle postrzegłszy mnie stojącą, mocno się zarumieniła.

— Zazdroszczę pani głosu, rzekłam witając się uprzejmie.

— Namiętnie lubię muzykę, ona przenosi mnie w owe szczęśliwsze czasy, kiedy mieliśmy Abrahamów, Jakobów, Mojżeszów i tylu innych wielkich ludzi. A dzisiaj, chociaż nie w jednej duszy tęsknota. ogół upadły, spodlony... Oglądam się, patrzę i widzę jak mali, niedołężni, biją się po ciemnościach, jak chytre pająki łowią bezmyślne muchy. Ale komuż to powiedzieć?

W domu między swemi milczę i czytam, chociaż mąż mój i rodzice nie lubią tego, lękając się o moję głowę. Niedawno przysłał mi brat z Berlina dużą pakę książek, mąż sądził że to towary, począł więc pilnie a chciwie otwierać aż splunął i poszedł sobie. Chciałam roześmiać się, lecz smutek mnie ogarnął i na śmiech siły nie stało.

U progu domu chciałam pożegnać Rebekę, ale ojciec jej Dawid z matką Rutą zaprosili mnie do siebie. Wchodzę, siadamy.

Pokój niewielki, przed kanapą stół jesionowy, na nim srebrny szabaśnik o siedmiu ramionach; przy ścianie pełno cienkich świeczek. Na komodzie, nakrytej czerwoną serwetą, książka w aksamit oprawna, zbiór poetycznych utworów syna, obok brudne mosiężne wagi i łokieć drewniany. W drugim pokoiku stały dwa łóżka wysoko usłane, osłonięte perkalową kotarą. Nad łóżkiem dziesięcioro w ukrytej szufladzie. Na stoliku talmud, rachunki pokrzywionym charakterem pisane, atramentem i pyłem obrosły kałamarz, poszczepane pióra i popiół do zasypywania rachunków w czerepku zbitej filiżanki.

Rebeka wyszła na chwilę, potem zaprosiła nas do swego pokoju.

— Widzi pani, rzekł Dawid, co tu książek; literatka to, czytać tylko i czytać a posiedzieć w sklepie ani jednej chwili. Syn także nie na kupca stworzony, niech i tak będzie, taka widać wola boża. Dopóki pracować możemy, handel nieźle idzie: ale wiadome nasze bogactwo, dopóki obrót, dopóty pieniądz w kieszeni.

— Niech kochani rodzice będą zupełnie o Saula spokojni, chociaż nie kupiec na chleb łatwo zarobi. Wreszcie najmniej o tem myśli, przerwała Rebeka.

— I tyś poetka wtrąciła Ruta. Skąd się to wzięło, tego sobie nie umiem wytłómaczyć! Gdy jeszcze byli dziećmi, zapędzałam ich do sklepu, ale gdzie tam! uciekali, chowali się po za belki złożone na dziedzińcu i grywali sobie teatr. Rebeka bywała Esterą, Saul Ahaswerusem, na Hamana wynajmowali za pięć groszy jakiego kompana. Mąż idzie z rózgą, aby spędzić ich do kramu, ale w tej ich grze jest coś tak pięknego a rzewnego, że się przypatrujemy i oboje płaczem.

Chcieliśmy ożenić Saula, boć już pełnoletni i to z córką bogatego kupca który ma piękną córkę, a w posagu daje kamienicę oraz trzydzieści tysięcy talarów obrączkowych. Wziąwszy grosz taki mógłby się kroci dorobić. Wyprasza się przecież od tego jak od rózgi, marzy, aby ukończyć nauki, zostać nauczycielem i założyć szkółkę dla naszych biedaków.

— Zaszczyt to mieć takie dzieci. Wyraźna to łaska Boża, odrzekłam.

Łza zabłysła w oku matki, ojciec westchnął po cichu, Rebeka pocałowała w rękę rodziców i podała nam kawę.

Jedynym sprzętem w pokoju Rebeki była szafka z książkami, łóżko zasłane muślinową kapą, stolik, sofka i kilka krzeseł. Nad łóżkiem obrazy olejne Mojżesza, Abrahama Sterna, pukownika Berka. Na stoliku przy łóżku niewielki obrazek suchemi malowany farbami. Górna część jego wystawia zburzoną Jerozolimę i płaczącego nad nią Izraelitę. Ciemna chmura zaległa nad wielką ruiną, zapadającą w ciemność. Widać łzy płynące z oczu sędziwego Izraelity; widać mękę ducha w całem obliczu. Z boku, po nad ruiną, wybija się z chmur anioł i skrzydłem jak śnieg białem, wytacza słońce mgłą okłębione; drugie skrzydło wyciąga ku zwaliskom.

— Czyjaż to ta śliczna robota? spytałam zaciekawiona.

— To mamy, odpowiedziała siedmioletnia Noemi o wielkich czarnych świecących oczach, twarzy drobnej, ściągłej z wyrazem rzewnym i smętnym, niby cierpień matki odbicie.

— Prześliczną masz pani córkę rzekłam do Rebeki, nie obarczaj jej tylką nauką zawcześnie, bo widać że słabowita.

— Do książki bierze się wtedy tylko, kiedy sama tego zapragnie. Często mnie prosi żebym jej opowiadała o Mojżeszu, Izaaku, Salomonie. Dziwne to dziecię!

— A synek czy podobny do siostrzyczki?..

— Ani z twarzy ani z usposobienia. Nic go nie zajmuje jak tylko koleje żelazne, maszyny parowe i fabryki. Przemysłowiec może być znakomity bo do poezyi żadnego nie czuje pociągu.

— Na co bo i ta poezyja, wtrącił stary Dawid. Niech będzie uczciwym kupcem, to z pewnością dobrze będzie. Poezyja chleba nie daje: pan *Szydłowski* toć poeta, a bieda u niego aż piszczy. Swoje *Wizerunki* zaczął teraz prozą wydawać, aby choć co podłatać swoję szczupłą pensyjkę.

Sługa wnosząca kawę oderwała od rozmowy Rebekę, Ruta opowiadała tymczasem o dawniejszych czasach, o korzystnym ówczesnym handlu, o tem jak dużo było złota, jak człowiek mógł ludziom dobrze czynić siebie nie ubożąc; a teraz tak wszystko inaczej.

Siwobrody Dawid narzekał na ciężkie czasy, rozpowiadał o wychowaniu dzieci, wychwalał nauczyciela akademika, co ich tak dobrze uczył. To rzadki człowiek mówił wzdychając, ale gdyby nie medycyna, byłby i on bez chleba, bo także poeta. Co miał pan *Górecki* z poezyj? Gdyby nie *Solczniki*, musiałby uczyć się medycyny lub adwokatem zostać.

Po kawie pożegnawszy gospodarstwo, wracałam przez ogród do siebie.

Pod rozłożystą jabłonią siedziało dwóch ludzi, na których oblicza padał blady księżyc. Byli to ci sami, których spotkałam słuchających koło altany śpiewu Rebeki. Starszy miał ręce złożone na piersiach, jakby do modlitwy, a zagasłe oko błądziło w ciemnościach. Pamiętał tylko a nie widział syna, co mozolną pracą całą żywił rodzinę, wykradał od snu godziny na ukochaną naukę, wypielęgnował w duszy tęskne i rzewne myśli co się rozleciały po świecie jak stadko śpiewnych ptasząt. Słyszałam jak mówił wsłuchanemu ojcu.

„O Boże! z nieba wysokiego Boże!
Dajże nam dajże twoje zmiłowanie—
I niekaż więcej znosić, niż człowiek znieść może!
Boć jeżeli upadnie w klęskach nad wytrwanie
Czyż ma podwójnie cierpieć? I tu, że prawdy obrońca,
I tam—że mu zabrakło sił wytrwać do końca?...

Wchodząc do bramy, spotkałam jednę ze strażniczek misyjonarskiego cmentarza.

— Dobry-wieczór, a co tam u was słychać kochanko?...

— Jak zwyczajnie na cmentarzu moja dobrodziko. Pochowaliśmy starego grabarza, co kopiąc grób dla jakiejś tam księżnej poderwał się nieborak i umarł. Ach! jak córka płakała, to niech Bóg uchowa!

— Czy to ta Fruzia biedaczka?..

— A tak moja dobrodziko łaskawa; piękna jak kwiateczek a i stateczna i pracowita obok tego, kręcili się koło niej jakieś fircyki z miasta; przychodzą bywało na cmentarz, podchodzą do nas, gadają to o tem to o owem, a tymczasem zyrk, zyrk! czy nie zobaczą gołębicy. Onegdaj przyszedł jeden panicz do mnie, gdy zakładałam ogień na kuchni; at! kupiłam sobie wiewiórkę, taka kanalija tłusta, chciałam upiec sobie na niedzielę. Panicz kiwa na

mnie palcem, żebym wyszła do sieni i mówi z cicha:—Na ci babko talarka na tabakę. Aż osłupiałam doprawdy, kręcę pieniądz w ręku, a nie wiem nic co to znaczy. Poproś no tutaj Fruzi, bo mam do niej pilny interes powiedział.—Grabarzankę, spytałam?—A tak, — tylko śpiesz się a ja poczekam.—Zaraz paniczu, zaraz, zawołałam, i wybiegłszy zginęłam za grobami. Czekał, czekał i niedoczekał się mnie hultaj wcale. Wczoraj, moja imość idę z Ostrej-Bramy, aż spotykam owego panicza, okrywam się łachmanem, żeby mnie nie poznał, ale żeby go licho, dobre ma widać oczy. Podszedł do mnie, pogroził mi laską i wrzasnął: poczekaj czarownico, zapłacę ja tobie? Ja w nogi, wpadłam do sklepiku i zginęłam mu z oczu. Wyszłam później i oglądając się ze strachem wróciłam do domu. Teraz moja imość choć późno idę do ogrodu po kwiaty. Jedna pani dała mi dukata za to, żebym co dwa dni świeże sadziła kwiaty na mogile jej córki. Otóż śpieszę, dobranoc imości i wysunęła się przez furtkę.

Myśląc o pięknej sierocie strach mnie ogarnął, czy wdowa co ją wzięła na opiekę nie jest to wilk w baraniej skórze. Postanowiłam dowiedzieć się o tem, i to bez straty czasu...

d. c. n.

ZARYSY
Gubernij północno i połudn.-zachodnich,

skreślił

JAN ZE ŚLIWINA.

(Ciąg dalszy,—patrz Nr 43).

XIII.

Znaczniejsze miasta i osady w gubernii Witebskiej.

Witebsk (Witepsk, Vitebscum) miasto główne gubernii nad Dźwiną Zachodnią, przy ujściu do niej Widźby, w malowniczej okolicy. Mylnie twierdzi Michał Baliński, jakoby w XI wieku jeszcze o Witebsku wzmianki nie ma w dziejach. Właśnie *Wremiennik Sofijski* i *Latopis Nikonowski* [1]), wspominają o Witebsku pod rokiem 1021, kiedy Jarosław kijowski ustąpił to miasto Brzetysławowi połockiemu. Mógł Jarosław oddać, jako podbite przez siebie miasto, ale i przedtem należało ono do dzielnicy Połockiej i założone było w IX albo X wieku. Należy zatem do prastarych grodów słowiańskich. Dopiero pod koniec XII wieku zostało stolicą osobnej dzielnicy, jako hołdownego księstwa, ale rządzonego przez własnych książąt, o których kroniki kilkakrotnie wspominają. Już od Gedymina księstwo Witebskie hołdowało Litwie, miało jednak własnych książąt, skoro wiemy, że sławny Olgierd poraz pierwszy [2]) był ożeniony z Maryją, księżniczką Witebską, i sam czas jakiś panował nad Witebszczyzną, do wstąpienia na tron wielkoksiążęcy (1345). Ta Maryja, założycielka sławnej w Wilnie cerkwi Piatnickiej, fundowała i w Witebsku cerkiew soborną Zwiastowania i drugą Zesłania św. Ducha, przy której później monaster żeński założono. W r. 1506 miasto zostało stolicą województwa witebskiego. Pierwszym wojewodą był Jerzy Hlebowicz.

Dalsze losy Witebska ściśle są z dziejami Litwy, a następnie Polski związane. Był to kraj ruski, wyznania prawosławnego. Witebszczanie odznaczali się niejednokrotnie męztwem i ofiarnością w czasie wojennych zapasów, śród napadów nieprzyjaciół i w częstych utarczkach między książętami. Tak było zawsze od najdawniejszych czasów i Witebszczanie słynni byli ze swego męztwa i poświęcenia, za co wielcy książęta i królowie polscy hojnie ich nagradzali przywilejami. W r. 1602, gdy Dubina z kozactwem najechał Witebsk, onego o własnych siłach napad odparli, zamek obronili i samego Dubinę z starszyzną w niewolę wzięli. We trzy lata potem (1605) mieszczanin witebski, Marco Ilinicz Łytka, stojąc na czele 500 swoich współmieszczan dał dowody wielkiego męztwa i nieprzyjaciela na głowę poraził pod Felinem, za co szlachcicem został z nazwiskiem *Felińskiego*.

Mieszkańcy od tego czasu zależeli od władzy juryzdyki wojewódzkiej. Taki stan trwał lat 17. W końcu, nowe zasługi surowo ukaranych mieszczan witebskich i dzielne odznaczenie się ich w bitwie pod Kaszewiczami, zniewoliły Władysława IV w r. 1641 do przywrócenia miastu wszystkich dawnych przywilejów.

W r. 1682 Kisiel fundował Bazylijanów. Były tu także klasztory Bernardynów i Trynitarzy, oraz kollegijum Pijarów. Jezuici wprowadzeni w roku 1640, mieli tu swoje kollegijum i szkoły utrzymywali, nawet po kasacie zakonu, aż do r. 1820, gdy cesarz Aleksander I ukazem 25 marca zabronił im mieszkać w Rossyi.

Witebsk w r. 1796 mianowany został miastem gubernijalnem.

Witebsk, położony nad Dźwiną był zawsze handlowym, mając rozległe stosunki z Rygą i Moskwą. Dawniej, jak w wieku XVI, stosunki te sięgały aż do Lipska dokąd posyłano w wielkiej ilości futra i skóry. Obecnie kolej żelazna w r. 1866 z Dynaburga przeprowadzona i łącząca z Rygą, znacznie się do wzrostu handlu i rozszerzenia przemysłu przyczyniła. Witebszczanie transportują koleją lub spławem do Rygi zboża, len, konopie i siemię. Miasto upiększa się coraz bardziej i wzrasta w ludność tak, że od r. 1864 ludność ta zwiększyła się prawie o 7,000, gdyż w r. 1864 liczono 24,455, a podług ostatnich wiadomości liczą już 13,182. Domów blisko 4,000 z tych nie ma 1,000 murowanych; magazynów i sklepów przeszło 700. Fabryk podrzędnych liczono 70, jako to: powroźniczych, garbarni, destylarni i t. d. Cerkwi 33, kościołów 3.

Połock, jeden z najdawniejszych grodów słowiańskich, już w wieku IX-tym stolica udzielnego księstwa, w uroczem położeniu na wyniosłym brzegu Dźwiny zbudowany. Rzeka Połota tuż wpada do Dźwiny. Rozległe mury klasztorów cerkwi i kościołów, dawne ruiny i dziś nadają mu cechę dużego i starożytnego grodu, chociaż ludność niewielka. Są jeszcze ślady dwóch starożytnych zamków: wyższego, na urwistej wyniosłości prawego brzegu Połoty i niższego, za rzeką na *Zapołociu*, połączonego dawniej mostem z wyższym zamkiem.

Początek dziejów Połocka, jak i samego księstwa jest niepewny; świt historyczny za czyna się pod koniec X-go wieku, kiedy Włodzimierz Wielki pokonawszy władcę Połocka Rochwołoda i porwawszy córkę jego a narzeczoną brata swojego, w. ks. Jaropołka, Rogniedę-Horysławę, zajął dla siebie to księstwo. Rognieda w 985 r. chciała go zamordować, ale rozbrojona osądzoną została na śmierć. Syn jej i Włodzimierza, 6-letni Izasław podając miecz Włodzimierzowi zawołał: oto jest miecz, zabij mnie pierwej. To rozbroiło księcia, kazał on wznieść miasto dla syna Izasław (w gub. Mińskiej); gdzie Rognieda z synem zamieszkała, a później Izasław dostał w udziale księstwo Połockie. Romantyczne to opowiadanie latopisa ulegać może wątpliwości, to jednak pewne, że odtąd przez kilka wieków na Połocku siedzieli udzielni książęta, nie zawsze posłuszni nawet w. książętom kijowskim.

Po Izasławie panował syn jego Braczysław albo Brzetysław; następnie syn tego ostatniego Wszesław. Toczył on zawziętą walkę z kniaziami kijowskimi i nie chciał ulegać ich władzy. Wtedy Izasław kijowski z książętami napadł na Połock (1068), a chociaż nie wziął miasta, ściągnął do siebie Wszesława jakoby dla układów pokojowych i zdradziecko wtrącił do więzienia w Kijowie. Wkrótce jednak gdy wybuchło powstanie w Kijowie lud uwolnił z więzienia Wszesława i ogłosił go wielkim księciem, a Izasław uciekł do Polski do Bolesława II, jako do brata swojego stryjecznego (urodzonego z Maryi Włodzimierzówny). Gdy Izasław przy pomocy króla Bolesława odzyskał tron, Wszesław wrócił do Połocka. 57 lat Wszesław walczył ze swoimi krewniakami, napadł był nawet na Nowogród Wielki i zrabował sławną cerkiew św. Zofii. Umarł w końcu w r. 1101. Zostawił on 7 synów: Romana, Hleba, Borysa, Dawida, Rochwałoda, Rościsława i Świętosława Jerzego; nadto dwóch wnuków Wasilka i Joana Rochwołodowiczów. Córka była za cesarzem greckim Aleksym (od roku 1104). Po śmierci Wszesława panował Hleb, również zdradziecko wywieziony do Kijowa, gdzie zaraz umarł w więzieniu podobno otruty, w r. 1119. Po nim nastąpił drugi brat Dawid. Przy nim to nastąpiła straszna klęska zadana Połocowi przez w. ks. kijowskiego w r. 1128, kiedy Mscisław I zwołał wszystkich książąt Rusi i z potężną siłą uderzył na Połock. Wszyscy książęta, synowie i wnuki Wszesława z żona-

---

[1]) Sowr. Letop. V, 134 i IX, 77.

[2]) Niektórzy dziejopisarze i do dziś dnia zrozumieć nie mogą pierwszą czy drugą żoną Olgierda była ta Maryja, mieszając ją ciągle z Julijaniją księżniczką Twerską. Nawet w Encykl. powszechnej (t. XXVII, 279) mówi autor: *Maryję czy Julijannę*. Przed paru lat zasłużony i głęboki badacz naszej przeszłości Teofil Żebrawski w swojem dziele o pieczęciach i herbach dawnych, uległ takiemuż błędowi, nazywając tę samą Maryją, *księżniczką twerska i matką Jagiełły*. A tym czasem kwestyja dostatecznie i dawno jest rozstrzygnięta, nie mówiąc już o rossyjskich historykach, ale i przez zasłużonego badacza, prof. Wil. un. Michała Homolickiego w Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych (w tomie 60 i poprzednich). W końcu i my kilkakrotnie o tem pisaliśmy. Powtarzamy zatem, że *pierwszą żoną Olgierda była Maryja, księżniczka Witebska* fundatorka Piatnickiej cerkwi w Wilnie, gdzie i zwłoki jej spoczęły; *drugą zaś żoną była Julijanija Aleksandrówna, księżniczka Twerska, matka Jagiełły*, pochowana w pieczarach kijowskich.

mi i dziećmi wywiezieni byli do Car-grodu. Otóż z tego powodu powstały domysły, że gdy w źródłach greckich nie ma wzmianki o tem wygnaniu książąt połockich do Konstantynopola, mogli więc książęta czas jakiś ukrywać się na Litwie i w Prusach. W końcu mogli niektórzy tylko udać się do siostry swojej cesarzowej greckiej, ale nie wszyscy.

Mścisław oddał księstwo Połockie a także Mińskie, gdzie panował jeden z Wszesławowiczów, synowi swojemu Izasławowi. Niedługo to jednak trwało. Książęta połoccy, śród feudalizmu ówczesnego grali najważniejszą rolę jako pochodzący od najstarszego syna Włodzimierza W. Oni byli panami nietylko Połocka ale Mińska, Drucka, Łahożska, Łukomli i t. d. Jakoż wrócili do kraju i panowali już bez przerwy.

Niepodobna nam tu śledzić krok za krokiem za książętami połockimi. Wspomnimy tylko, że jeden z synów Wszesława, Świętosław, przezwany później Jerzym był założycielem cerkwi sobornej pod wezwaniem św. Zofii. Arcybiskupstwo połockie już przed tem było założone [1]). Córka tego Jerzego, św. Eufrozyna, słynna w dziejach kościoła wschodniego, zmarła d. 23 maja 1173, w Jeruzalem przy grobie Pańskim. Ona była założycielką dwóch monasterów żeńskich w Połocku, Bogarodzicy i Spasa, jak również wspaniałej cerkwi Spasa [2]), sama zaś była przełożoną jednego z klasztorów.

Najsławniejszym z linii książąt Połockich był Wszesław II Wasilkowicz, przezwany *wielkim*, prawnuk pierwszego Wszesława o którym mówiliśmy, a syn Wasila Rochwołodowicza. Panował on na Połocku od 1166 do 1181, prowadził wojny z sąsiednimi książętami, był panem i na Witebsku, nastawał na wolność Nowogrodu wielkiego. Był najstarszym i najdostojniejszym w gronie drobniejszych Krzywieckich książąt, mianowano go nawet *wielkim księciem*.

Podanie mówi, że po nim jakoby zabrakło książąt z linii połockiej, że utworzyła się rzeczpospolita którą rządziło trzydziestu starców od ludu wybranych. Niedługo jednak utrzymała się, bo na Połock napadł i owładnął nim Mingajło z Litwy, syn księcia Erdziwiłła.

Niezabrakło wszakże książąt z najstarszej linii od Włodzimierza W. Wiemy, że Dawid syn Wszesława I, o którym już wspomnieliśmy miał 6 braci, że z nich Rochwołod miał dwóch synów, Hleb miał trzech synów. Borys i inni bracia mieli także synów i wnuków o których wspominają kroniki jako o panach na Drucku, na Łohoysku i t d. A zatem ten Mingajło mógł przybyć z Litwy, gdzie w czasie walk i niesnasek domowych książęta z krwi Izasława chronili się, ale był z rodu księciem i musiał mieć prawo do tronu połockiego. Litwa pod koniec XII w. nie wystąpiła jeszcze prawie na widownię historyczną i jakiś Mingajło Litwin niemógłby podbić tak potężnego księstwa, jakiem już było Połockie.

Kroniki mówią, że po Mingajle (około 1190) panował syn jego Ginwiło, a później syn tego ostatniego Borys.

Ten ostatni zostawił wiele po sobie pamiątek w Połocku. On to miał wznieść do dziś istniejący sobor ś. Zofii w miejsce drewnianego, z drugiej zaś strony Dźwiny na przedmieściu, nad Bielczycą wzniósł dwie cerkwi Borysa i Hleba i ś. Paraskiewii czyli Praxedy. Miał to być książe bogobojny i dla poddanych łaskawy. Darował Połockowi swobody odjęte przez Mingajłę, prawo sądów własnych, na które dzwon wielki do rady zwoływał.

Stryjkowski mówi, że sam widział w Dźwinie o milę od Dzisny kamień, na którym wyrznięty był krzyż z napisem: „Wspomoży Hospody Raba swojeho Borysa syna Ginwiłowaho.“

W ostatnich czasach lepiej zbadano ten i kilka innych podobnych kamieni i przekonano się, że na kamieniu koło Dzisny wcale wyrazów *syna Ginwiłowaho* nie ma. Najprawdopodobniej był to kamień graniczny. [1])

Po Borysie został księciem syn jego Rochwołod, który znów zostawił syna Hleba i córkę ś. Praxedę. [2]) Po śmierci Hleba, w pierwszej połowie XIII wieku, znowu następuje przerwa książąt Połockich i znowu miała się utworzyć rzeczpospolita, jak o tem wspominają Stryjkowski i Bielski.

Około roku 1243 Mendog albo Mindowg, sławny bohater litewski został panem Połocka, mianując synowca swojego Towciwiłła, w chrześcijaństwie Tymofieja, namiestnikiem swoim z tytułem księcia Połockiego.

Od tego czasu księstwo Połockie dzieli wspólne losy z Litwą, prowadzi wojny zabójcze z Krzyżakami, domowe między książętami, w końcu walkę uporczywą religijną przy wprowadzeniu unii.

Iwan Groźny podbił Połock 15 lutego 1563 r. Odebrał go król Stefan Batory 30 sierpnia 1579 r. Iwan Groźny zaraz po zdobyciu miasta mianował ze swego ramienia arcybiskupa, a Haraburdę arcybiskupa ze strony Litwy wziął do niewoli, wnet jednak mianowano innego, ale ten tułać się musiał po Litwie. Tak więc przez lat 16 Połock miał dwóch arcybiskupów i dopiero Batory odzyskawszy Połock, wziął znów w niewolę mianowanego przez Groźnego arcybiskupa Cypryjana i skutecznie skończył ten rozdział biskupstwa na dwóch pasterzy.

Król Stefan Batory w roku 1580 fundował w Połocku kollegijum i kościół Jezuitów. Pierwszym rektorem został ks. Piotr Skarga. Batory darował im ziemie i domy poprzednio należące do prawosławnego duchowieństwa; Jezuici zamienili części ich na słobodę Ekimaniję za Dźwiną.

Oprócz Jezuitów byli tu Bernardyni, Dominikanie, Franciszkanie i Bazylijanie.

Jezuici następnie pozostali tu po dawnemu i byli nawet protegowani przez cesarzową Katarzynę. Mieli też tu akademiją, która gromadziła najbogatszą młodzież z całego kraju. Panowanie Jezuitów trwało aż do r. 1820. W gmachu ich, dziś mieści się gimnazyjum wojenne (przedtem korpus kadetów) i daje wyobrażenie o wspaniałości rezydencyi, która oprócz widzialnych, mieściła jeszcze rozmaite sekretne zakłady, naprzykład browar piwny, miodownię i t d. Był nawet jakoby młyn wewnątrz zabudowań. Biblijoteka, muzeum, gabinety słynne były na cały kraj. Były tam zbiory drogocenne i czysto naukowe, ale były i przedmioty jedynie dla złudzenia nagromadzone. Tak naprzykład w muzeum była głowa staruszka wysoko w ścianie umieszczona, bardzo trafnie na wszelkie zapytania odpowiadająca. Były przedmioty optyki i mechaniki łudzące doskonale odwiedzających, był bilardzik chiński wtedy jeszcze za osobliwość uważany, instrument jakiś muzyczny, na którym smyczkiem bardzo harmonijnie grano po stalowych pionowo nabitych kółkach i t. d.

Po Jezuitach, t. j. po r. 1820 czas jakiś Pijarzy tu osiedli i szkołę wyższą utrzymywali.

Miasto zajmuje powierzchni 6286 dziesięcin, z tych lasów 4910 dziesięcin i 1200 łąk i pol ornych. Jest tu 10 cerkwi, 6 monasterów, kościół katolicki, 2 kaplice. Miasto zubożałe i podupadłe. Obecnie mieszkańców liczą zaledwie 12 tysięcy. Sklepów i magazynów około 400. Handel wyłącznie prawie w ręku żydów.

Horodek miasto powiatowe, ze śladami starożytnego zamku, który musiał stanąć na miejscu starożytnego grodziska, *horodka*. Miasto nad rzekami Horożanką i Nieszczadrą. Ludność wynosi około 3000.

Wieliż miasto powiatowe nad Dźwiną. Założony na granicy smoleńskiej za czasow Olgierda. W czasie przyłączenia przez Witolda Smoleńska do Litwy, Wieliż miał silny zamek obronny, Iwan Groźny w r. 1536 rozkazał wojewodzie Iwanowi Barbaszynowi wznieść na lewym brzegu Dźwiny silną fortyfikacyją, która w 1582 oddaną była Litwie. Za Jana Kazimierza w r. 1655 zajęty był przez wojska Aleksego Michajłowicza, ale traktatem Andruszowskim 1667 znowu do Litwy przywrócony, a od 1802 mianowany miastem powiatowem. Mieszkańców liczy około 9,000. Kupcy miejscowi prowadzą dość znaczny handel z Rygą.

Suraż także nad Dźwiną; przy wpadnięciu do niej rzek Kaspli i Surażki. Zamek wzniesiony przez księcia Zbarażskiego, wojewodę witebskiego, z rozkazu Zygmunta Augusta. Mieszkańców liczą około 2,000.

Uświat albo Użwiacz, nad jeziorem Uświackiem, z którego wypływa rzeka Uświatcza do Dźwiny wpadająca. Latopis mówi o tej starożytnej osadzie pod rokiem 1020. Uświat na-

---

[1]) Pierwszym biskupem miał być Mina. Już w XIII wieku biskupi połoccy tytułowali się połockimi, białogrodzkimi i jurjewskimi. Teodozy, za Witolda, pierwszy zaczął używać tytułu arcybiskupa z woli Witolda. Następnie od króla Aleksandra arcybiskupi używali tytułu Połockiego i Witebskiego, a za Zygmunta I dodano jeszcze i mścisławskiego. W liczbie tych arcypasterzy byli członkowie znakomitych rodzin, jak np. Chreptowicz Herman, Haraburda Iwan i inni. Za Zygmunta III, kiedy się utworzyła unija, arcybiskupstwo połockie zostało unickiem i szereg tych pasterzy od Hermogena Zahorskiego szedł nieprzerwanie aż do Jakóba Martusewicza ostatniego arcybiskupa. Jason Junosza Smogorzewski był wtedy suffraganem Połockim. Wszakże w ciągu tego czasu i prawosławni miewali tu swoich arcybiskupów, a z tych najznakomitszym był Melecyjusz Smotrycki, słynny mówca i pisarz rusiński. Od roku 1839 z ustaniem unii, arcybiskupi połoccy przenieśli się do Witebska, ale i dziś używają tytułu połockiego.

[2]) S. Eufrozyna, klasztorowi w którym była przełożoną, ofiarowała drogi krzyż z relikwiją drzewa z krzyża św. Na tym krzyżu jest taki napis po słowiańsku: „Da niznesitsia iz Monastyra nikohdaże... Aszcze kto se przysłuszajet, i znesit iz Monastyra, da ne budy iemu pomoszcznyk czestnyi krest ni wo siej wik, ni wo buduszczyj i t. d.“ Krzyż aż do późniejszych czasów był w cerkwi ś. Zofii, a i dziś musi tam być.

[1]) Ob. w Drewnostiach Mosk. Arch. tow., 1867., str. 154. Rozprawa Konstantego hr. Tyszkiewicza z przypisami prof. Kotlarewskiego.

[2]) Praxeda była zakonnicą w Spaskim monasterze i umarła w r. 1239.

leżał do Brzetysława Połockiego. Dwa razy przechodził pod panowanie Rossyi, za Zygmunta Augusta i Jana Kazimierza, odzyskany w 1667 r. Mieszkańców liczy około 3000, którzy prowadzą dość znaczny handel wysyłając towary rzeczką Uświaczą do Dźwiny i dalej do Rygi.

Newel, miasto powiatowe, nad wielkiem jeziorem, które strumień Jemienka łączy z rzeką Łowatem, ze trzech stron oblewającą miasto i starożytny zamek. W r. 1562 podbity został przez Rossyjan, ale odzyskany w 1580 przez Zamoyskiego. Władysław IV nadał Newel z ogromnemi włościami hetmanowi Krzysztofowi ks. Radziwiłłowi. Stąd Radziwiłłowie linii nieświeżskiej pisali się panami na Newlu i Siebieżu. W 1653 Newel zajęty był powtórnie przez Rossyjan, a przywrócony traktatem Andruszowskim w 1678. Mieszkańców liczą około 7000. Są tu trzy cerkwie i 3 monastery, 1 kościół katolicki. Domów przeszło 700.

Siebież nad jeziorem Siebieżskiem, ze śladami zamku zbudowanego w r. 1535 przez wojewodę rossyjskiego Buturlina. Mieszkańców liczy około 6000. Domów 350.

Lepel, miasto powiatowe, nad jeziorem Lepelskiem, między rzekami Ułą i Essą. Zamek założony za Zygmunta Augusta, spalony przez Rossyjan w r. 1563. W r. 1580 przebywał tu krótko Stefan Batory. Lepel jest centralnym punktem kommunikacyj wodnych w tej stronie. Mieszkańców liczą 4640. Domów 550. Miasto posiada 2258 dziesięcin ziemi. Są tu 2 cerkwie i 1 kościół.

Czaszniki, o 7 mil od Lepla, nad Ułą. Pamiętną jest walna bitwa na polach Czasznickich 23 stycznia 1564, r. między hetmanem Mikołajem księciem Radziwiłłem i kniaziem Piotrem Szujskim. Ten ostatni poległ na placu bitwy. Tu Stefan Batory przyjmował posłów od Iwana Groźnego w 1560. Tu w końcu mężny kniaź Roman Sanguszko zniósł ze szczętem silny oddział tatarski pod wodzą Amurata. Obecnie mieszkańców 5200. Byli tu Dominikanie.

Ula, miasteczko w powiecie Lepelskim, przy ujściu Uły do Dźwiny. Za Zygmunta Augusta, gdy Rossyjanie zawojowali ziemię połocką, założyli w Ule warowny zamek. W r. 1568 starosta żmudzki Jan Hieronim Chodkiewicz, wiele ludzi stracił dobywając zamku i nic nie poradził; gdy zaś po nim objął dowództwo sławny Roman Sanguszko, zamek zdobyty został szturmem. Batory wzmocnił tę twierdzę.

Bieszeńkowicze, nad Dźwiną, także w Lepelskiem, własność niegdyś Sapiehów, dziś Chreptowicza. Mieszkańców około 5000. Miasteczko handlowe i zamożne, posiada 60 murowanych kramów. Na św. Piotr bywa tu jarmark, który trwa cały miesiąc. Dawniej przywożono towarów na milijon rubli, a i w r. 1866 było na 600,000. Piotr W. fundował tu cerkiew prawosławną.

Dryssa, miasto powiatowe, na prawym brzegu Dźwiny, przy ujściu do niej Dryssy. Zamek warowny istniał tu już w XIV wieku. Andrzej książę połocki spalił go w r. 1386. Zygmunt August silnie obwarował zamek, a za Batorego był ważnym strategicznym punktem. Mieszkańców liczy 5099.

Powiat Dryssieński możnaby już zaliczyć do gubernii. Mieszka tu bowiem około 2000 Łotyszów katolickiego wyznania.

Oświej, miasto między Dryssą a Siebieżem, nad jeziorem, jednem z największych w zachod. gub. Należy do osad starożytnych. Wspomina się o nim w traktacie 1503 r. między Aleksandrem Jagiellończykiem a w. księciem Iwanem. Była to własność zamożnego i znakomitego rodu Hilzenów, którzy tu w połowie przeszłego stulecia wznieśli wspaniały pałac, fundowali kościół, szpital Siostr miłosierdzia i szkołę. Obecnie własność Szadurskich. Mieszkańców liczą około 2000. Czas jakiś zarządzał Oświejszczyzną, jako pełnomocnik, znany agronom i ekonomista Tomasz Snarski, zmarły przed kilku laty.

Z innych miejscowości w powiecie Dryssieńskim godne wspomnienia *Wołyńce*, *Kochanowicze*, *Mikołajewo*, *Przydrujsk* (część miasta *Drui* na prawym brzegu Dźwiny), *Rosice*, *Juchnowicze*, liczące przeszło 1000 mieszkańców.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XIV.

Rady dla osób zmuszonych podczas swej pracy wdychać wiele kurzu.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Wiadomo powszechnie, że znaczna liczba robotników, zmuszonych podczas swych zatrudnień wdychać razem z powietrzem kurz i inne nieczystości (jak np. szlifierze, rzeźbiarze, mularze, młynarze, piekarze, stolarze, kuśnierze, robotnicy w fabrykach tytuniu, fajansu i t. p.), umiera na suchoty płucne, nie dosięgnąwszy bynajmniej wieku podeszłego. Zresztą, choroba pomieniona dotyka głównie tych robotników, którzy są do niej dziedzicznie usposobieni, i już przed przystąpieniem do swego zatrudnienia odznaczali się wątłą budową oraz złem odżywianiem ustroju; nadto, na suchoty płucne zapadają robotnicy, którzy po za obrębem godzin pracy zaniedbują korzystać ze świeżego powietrza i przebywają w wilgotnych pomieszkaniach, lub też ci, którzy oddają się różnym nadużyciom i żywią się nędznym pokarmem.

Ciągłe wdychanie kurzu oraz nieczystego, zepsutego powietrza, prawdopodobnie wywołuje suchoty tylko w płucach z zajętemi już poprzednio wierzchołkami, powodując nowe odkładanie się gruzełków (tak zwane pogorszenie się choroby), w skutek podrażnienia i przepełnienia krwią naczyń płucnych. Lecz na nieszczęście, u osób postawionych od dzieciństwa w warunkach nie przychylnych, płuca bywają bardzo często zajęte już wówczas, kiedy te osoby przystępują do swych zatrudnień, i dla tego też tak wielka liczba robotników zapada na suchoty płucne, jeśli płuca ich nie są dostatecznie ochraniane od wdychanego kurzu. Osoby, których płuca w chwili przystąpienia do podobnej pracy, były zupełnie zdrowe, chociaż chorują później, lecz ni na suchoty płucne, tylko na dychawicę (astmę), w skutek rozszerzenia pęcherzyków płucnych (rozedmy płuc), wywołanego powtarzającym się często nieżytem płuc i kaszlem.

W każdym razie, ciągłe wdychanie kurzu jest w ogóle bardzo szkodliwem dla narzędzi oddechowych i nadzwyczaj niebezpiecznem dla osób odznaczających się wątłą budową, u których wierzchołki płuc już są zajęte. Kto więc pracuje w kurzu, powinien koniecznie zachowywać pewne ostrożności i ochraniać swe płuca od przystępu rzeczonego działacza. Osobom zaś, dziedzicznie skłonnym do suchot, lub nawet z zajętemi już płucami, wypada całkiem wyrzec się zatrudnień, mających związek z wytwarzaniem lub obecnością kurzu.

Dla zabezpieczenia narzędzi oddechowych od dopadającego do nich kurzu (lub przynajmniej dla zmniejszenia ilości tego ostatniego), okazuje się bardzo pożytecznem noszenie maski, pokrywającej usta i nos, która nie przepuszczając kurzu, jednocześnie nie utrudniałaby oddychania. Taką maskę łatwo można sobie zrobić tanim kosztem, z giętkiego drutu i kawałka jakiejkolwiek cienkiej materyi. Wielu jednak, z powodu lenistwa i braku rozsądku, gardzi środkiem rzeczonym, zapobiegającym i chętnie zgadza się na takowy dopiero wówczas, kiedy suchoty sprowadzą ich nad brzeg grobu! Ale teraz, niestety, spóźniona ta pomoc, zarówno jak i wszelka kuracyja, na nic się już nie przyda; daleko rozsądniej byłoby zapobiedz nieszczęściu, aniżeli pozwolić na rozwój choroby. Respiratory (oddychadła), jako zbyt kosztowne, są niedostępne dla robotników.

Autor więc proponuje wszystkim właścicielom takich fabryk, gdzie robotnicy, podczas zatrudnień zmuszeni są wdychać wiele kurzu, ażeby postarali się o przygotowanie własnym kosztem dostatecznego zapasu wyżej wzmiankowanych tanich masek, pokrywających nos i usta, oraz zalecali robotnikom noszenie takowych w ciągu godzin pracy, a nawet zniewalali ich do tego, postawiwszy noszenie maski za nieodzowny warunek, bez którego żaden robotnik nie mógłby przyjąć udziału w urządzeniu kassy dla chorych lub dla pogrzebania zmarłych.

W celu ażeby praca, połączona z wdychaniem kurzu i nieczystego powietrza, nie wywierała na robotnika wpływu zwolna zabijającej trucizny, powinien on koniecznie zachowywać następujące ostrożności: przedewszystkiem, przedsięwziąć środki względem niedopuszczenia kurzu do swych płuc; po za godzinami pracy korzystać ze świeżego powietrza i starać się o jak najgłębsze wdychanie takowego; używać według możności pokarmu pożywny i zdrowy (szczególniej mleko); unikać nadużyć wszelkich oraz nieumiarkowania w napojach wyskokowych; przebywać według możności w suchem, ciepłem pomieszkaniu.

Nietylko osoby pracujące w kurzu, lecz i każdy człowiek, u którego wierzchołki płuc są zajęte, powinien starać się o ochranianie zdrowego jeszcze płuca od nowego odkładania się gruzełków, unikając wszystkiego, co może w sposób nienormalny wzmocnić dopływ krwi do płuc. Pierwszym więc przepisem dla osób

skłonnych do suchot, jest: wdychanie czystego zawsze (nie zanieczyszczonego kurzem, dymem lub drażniącemi gazami) powietrza, a przytem, nie zbyt ostrego i zimnego (zachowaniu tego przepisu najlepiej pomaga noszenie respiratora); dalej, konieczną jest rzeczą, wystrzegać się wszystkiego, co może wywołać przyśpieszone oddychanie i powiększone bicie serca, między zaś innemi, wszelkiego nadmiernego natężenia i zbyt szkodliwego dla podobnych osób leczenia się zimną wodą.

Pragniemy zwłaszcza przestrzedz robotników, cierpiących na płuca, ażeby unikali wszelkich środków tajemniczych, niedorzecznych sposobów leczenia, które oni prawie zawsze przekładają nad prawidłową dyjetę, marnując przez to bezpotrzebnie grosz ciężko zapracowany. Przeciw środkom sympatycznym i kuracyi homeopatycznej, nic nie mamy do nadmienienia, jeśli chory do tego już stopnia jest ograniczonym, że nie da się od nich powstrzymać, byleby przy tem ściśle zachowywał podane wyżej przepisy dyjetyczne.

Dla ciekawości, przytoczymy tutaj kilka środków sympatycznych przeciw suchotom płucnym. Przedewszystkiem, nie trzeba bić dzieci rózgą ze starej miotły przygotowaną, gdyż w takim razie mogą one łatwo zachorować na suchoty. Dalej: 1) podczas pierwszej i ostatniej kwadry księżyca, należy ssać pierś kobiety, która urodziła chłopczyka, przegryzając za każdą razą kawałkiem cukru. 2) Choremu zawiesza się na szyi kawałek drzewa, pochodzącego z trumny, w której została pochowaną położnica. 3) Chory powinien raz podczas nowiu i raz podczas pełni księżyca, udać się za miasto, w takie miejsce, skąd widać przynajmniej trzy szczyty kościelne, i patrząc na księżyc przeżegnać się trzy razy oraz mówić: „O! Jezu Chryste, zmiłuj się nademną przez Twe pięć ran, i powróć mi mózg (!) i kości, ciało i krew. 4) Chory powinien pójść o zachodzie słońca, razem z jaką starą kobietą do ogrodu, gdzie rośnie krzak bzowy, przed którym to ostatnim zatrzymawszy się oboje, klękają naprzeciw siebie i mówią głośno: „Ojcze nasz;“ następnie staruszka kładzie swe ręce na głowę chorego spogląda na niebo, wzdycha i modli się pocichu. Wówczas chory może powrócić do domu, z zupełnem przekonaniem, że wyzdrowieje. 5) Suchotnik powinien przy wschodzie słońca wypluć ropiastą ślinę na korę bzowego krzaku, nieco oderwaną od łodygi i na tem miejscu wykroić mały otwór, gdzieby ślina mogła się zmieścić; następnie, korę przywiązuje się ostrożnie znów do łodygi, ażeby przyrosła napowrót. 6) Chory, w ciągu czternastu dni od pełni do nowiu księżyca, powinien nosić na sobie koszulę, otrzymaną w podarunku od kobiety, jeśli jest mężczyzną i przeciwnie. Prócz tego, dzień urodzin osoby dającej ów prezent, ma zgadzać się z dniem urodzin pacyjenta. Po upływie dni czternastu należy zdjąć koszulę, milcząc, i po zachodzie słońca zakopać ją w mrowisko. Przy tem potrzebną jest wielka ostrożność, gdyż chory nie powinien wymówić ani słowa, kładąc na siebie i zdejmując koszulę, jako też na drodze ku mrowisku.

Homeopatyja zaleca przeciw suchotom, oprócz mnóstwa innych środków, niektóre główne (jak np. wapno, przestęp biały, żelazo, jod, węglan sody, rtęć, fosfór, ołów, siarkę), i to z takim natarczywym tonem, że chory ryzykuje po prostu swe własne życie, jeśli nie zechce użyć takowych. Godną uwagi jest jednak rzeczą, że suchotnicy, leczeni homeopatycznie, na ostatku przechodzą prawie zawsze do jakiegokolwiek innego, niekiedy bardziej jeszcze niedorzecznego i szkodliwszego sposobu leczenia (np. do leczenia zimną wodą), albo, że sztukmistrze-homeopaci wysyłają ich, kiedy niebezpieczeństwo staje się wielkiem, do południowego klimatu. Strasznie męczącym i śmiesznym okazuje się homeopatyczny sposób leczenia, używany przeciw kaszlowi i wydzielaniu się plwocin, jakie towarzyszą suchotom płucnym. W dziełku *Müllera*: p. t. „Poradnik domowy“ zalecane są: przy suchym kaszlu, ośm różnych środków; przy kurczowym, pięć innych; jeszcze inne, coraz rozmaitsze, przy kaszlu połączonym z wymiotami, przy lekkim kaszlu, przy kaszlu zjawiającym się wieczorami, w nocy lub rano; przy kaszlu powstającym w skutek mocnego ruchu, rozmowy, jedzenia, świeżego powietrza lub położenia leżącego; przy kaszlu suchym, ostrym, świszczącym, charkającym; w razach, jeśli przy kaszlu wydziela się plwocina ze śluzem, krwią, ropą, cuchnąca, wodnista, gęsta, zielonawa, szara, słona, gorzka, słodkawa, kwaśna. *Hirschel*, proponuje niektóre jeszcze inne środki główne, o których nie wspomina *Müller*, np. węgiel, chinę, jod, platynę, kwas azotowy i krzemionkę. *Artur Lutze*, wybierając dla chorego lekarstwo, stosuje się do tego, które płuco jest chorem, prawe czy lewe; dla lewego rekomenduje: wapno, chinę, jod, rtęć i siarkę, dla prawego zaś przeważnie ołów. Czyż może być cośkolwiek bardziej od tego niedorzecznem?

ŚLADY ŻYCIA.

XLIV.

Tyle życia ile w czynie.

Któż z nas nie przypomina sobie tych gorących porywów naszej młodzieży przed laty paru ku nowym drogom, ku nowemu życiu?.. Komuż wtedy serce nie biło przyśpieszonem tętnem na widok tego szlachetnego zapału jaki ją ożywiał; któż nie marzył o szerokich planach odrodzenia się naszego społeczeństwa na wszystkich drogach jego życia, czy to w ciaśniejszem zakresie domowego ogniska czy na szerokich szlakach społecznej pracy; któż nie czuł się szczęśliwym, że mu losy pozwoliły żyć na początku nowej ery odrodzenia, śledzić związki tego co zarazem miało się rozrosnąć i zolbrzymić... I cóż się stało z tem wszystkiem po latach paru?.. Były projekta, były początki, a gdzież ich urzeczywistnienie; wszystko prawie upadło, skarlało. Gdzież przyczyna tak smutnego zjawiska. Czy w samym kierunku. Przenigdy. Czyż życie, młodość i jej gorące, szlachetne porywy, mogą być trucizną tego samego życia. Życie i śmierć nigdy z sobą w parze nie chodzą, to dwa przeciwległe bieguny istnienia. Dlaczegoż więc postarzeliście się, dlaczego na waszych młodych jeszcze twarzach tylko wyraz apatyi i zniechęcenia, że nie powiem niedołęztwa wyczytać tylko można. Czyż złamały was gorzkie zawody, czy tytaniczne wasze siły rozbiły się o nieprzełamane zapory; ale gdzież one były... Przyznajcie się, że upadliście własną tylko bezsilnością, że wasz gorący zapał zamroziło proste zetknięcie się z warunkami trudnego, rzeczywistego życia, które przecież nie róże ściele pod nogi. O tem powinniście byli wiedzieć. Tylko dzieci i nerwowe kobiety doznają zawodów i rozczarowań, zniechęcają się. Wam, wam przystało obok zapału mieć jasne pojęcie o warunkach życiowych, obok gorących porywów, siłę i wytrwałość. Tego nie mieliście i zamiary wasze stały się tylko czczym dymem marzeń, powodującym niesmak i zwątpienie... I czyż tak ma być już ciągle, czy skazani już jesteśmy na bezsilność, i bez życia, czy może to życie w idealne już ułożyło się formy... Gdyby to było prawdą, byłoby to więcej jak smutne... Mamy nadzieję, że tak źle nie jest, że to tylko stan przejściowy, chwilowa bezsilność; że młode siły wyjdą z tego stanu wzmocnione doświadczeniem, silne świadomością, zahartowane... i poprowadzą społeczeństwo po nowych drogach życiowych, że je poprowadzą jak przystało na ludzi rozumnych i świadomych swych sił i celów i że przyznanie się do winy będzie początkiem na tej nowej drodze... i dla tego z radością witamy „nieumiarkowany“ artykuł w przedostatnim numerze *Niwy*, p. t. „Nasza młodzież“ napisany w tym duchu. Oby on był początkiem...

* * *

Że nowy rok za pasem, świadczą o tem kalendarze wyrastające codziennie niby grzyby po deszczu. Oprócz tych o jakich mieliśmy już sposobność wspomnieć w „Opiekunie,“ zaznaczamy dziś pojawienie się w handlu księgarskim: Kalendarza warszawskiego popularno-naukowego Józefa Ungra, Kalendarza dla wsi i miast Jana Noskowskiego, Kalendarza illustrowanego premijowego Józefa Kaufmana, „Nadwiślanina“ Julijana Korzeniewskiego, Kalendarza ludowego Józefa Grajnerta, oraz bardzo sumiennie opracowanego i bardzo pożytecznego „Kalendarza rolniczego,“ wydanego nakładem Biblijoteki Rolniczej.

W Częstochowie wyszedł także liczący trzeci już rok istnienia „Kalendarz Obrazkowy“ ułożony przez p. Bronisława Grabowskiego, a przyznać potrzeba że pod każdym względem dobra to i pożyteczna książeczka. Oprócz opisu kaplicy Najświętszej Maryi Panny w kościele Jasnogórskim, noworocznik Częstochowski obejmuje kilka udatnych powiastek i poezyjek, a w dziale informacyjnym zawiera tak potrzebne wiadomości jak między innemi nowe przepisy pocztowe, zasady nowej ustawy o powinności wojskowej, termina opłaty podatków i t. p. Kalendarz *ozdobionym jest także* kilku obrazkami, chociaż przez poszanowanie dla sztuki lepiej go było nie przyozdabiać w ten sposób. Wyszedł już także „Noworocznik Kaliski“ i „Przyjaciel“ Piotrkowski, ale o nich wiemy tylko ze słuchu.

* * *

Że świat nie jest jeszcze tak złym jak to

w niego wmówić chcą niektórzy, że chociaż życie idzie po grudzie, są przecie jeszcze uczciwi ludzie, mamy tego wybitny dowód w fakcie jaki kilkanaście dni temu miał miejsce u nas w Warszawie. Pewien młody, zdolny, pracowity i oszczędny człowiek, pomagający w dodatku licznej a niezamożnej swojej i żony swojej rodzinie, brakiem pracy pozbawiony chleba, zmuszonym był pod naciskiem długów opuścić żonę i dziecko i na czas jakiś wydalić się z kraju. Wierzyciele rzucili się na resztki skromnej jego chudoby, na meble i ruchomości i komornik zabrał je i wyniósł plac Krasiński dla sprzedaży przez licytacyją. Żydki którzy przy podobnych operacyjach na robią dobre geszefta i którym nikt przytem nigdy w drogę nie wchodzi znaleźli się i tutaj, zdziwili się atoli nie pomału, spostrzegłszy że jacyś eleganccy panowie, podbijają każdy przedmiot i wykupują wszystko, płacąc w dodatku drożej nieraz jak warto. Nie długo wyjaśniła się zagadka. Ci panowie to zacni koledzy i przyjaciele nieszczęśliwego zbiega, którzy nabyli wszystko co było, na rzecz dziecka nieszczęśliwej losu ofiary. Kto potrafi sobie wyobrazić co się dziać musiało w duszy młodej kobiety, w duszy zrozpaczonej żony i matki, gdy w pośród ścian nagich na rozesłanej pościeli na podłodze, sama z dziecięciem swojem, niepewna jutra została, ten tylko będzie też zdolnym ocenić całą świetność tego nad wyraz wszelki szlachetnego uczynku. A nie koniec jeszcze na tem, te same bowiem osoby zebrały w dodatku dobrowolną pomiędzy sobą składkę i powstałą stąd kilkuset rublową sumkę nadesłali nieszczęśliwej. Cześć zaprawdę—cześć głęboka ludziom, co w ten sposób obowiązki swoje pojmują.

* * *

„Panowie, zlitujcie się poradźcie mi w nieszczęściu! Miałam staruszkę matkę która po kilku miesiącach ciężkiej choroby rozstała się z tym światem. Choroba zabierała i zabrała wszystko, co „igłą“ zapracować zdołałam, zabrała też i wszystkie najniezbędniejsze sprzęty domowe, i dziś mojej biednej, mojej ukochanej matki nie mam za co pochować!“

„Ciało leży już dzień trzeci na przegniłym barłogu i psuć się poczyna, a ja nieszczęśliwa nie mam grosza przy duszy.“

Czy straszna „wyjątkowa“ nędza ma istotnie nawet po śmierci koniecznie naszej ofiarności publicznej w taki sposób urągać?!

Toć przecież mamy tyle w samej Warszawie instytucyj filantropijnych! mamy Towarzystwo Dobroczynności, które rok rocznie poważne bardzo z ofiarnych rąk ogółu czerpie fundusze, dlaczegóż więc instytucyje owe nie pomyślą raz przecie, aby nędza choć po śmierci jałmużniczego nie wzywała ratunku! Dlaczego np. w Towarzystwie Dobroczynności nie może być na grzebanie nędzarzy pewien specyjalnie wyznaczony fundusik?

Panowie filantropi... *poważni!*

Nie dość jest mieć tytuły radców, członków i t. p. bo to potrzeb filantropijnych nie zaspokoi bynajmniej. Nam się zdaje że obok... przyjmowania poważno-filantropijnych godności, potrzeba nadto większego przejęcia się wziętym razem z godnością *obowiązkiem* i ściślejszego niż dotychczas wnikania w potrzeby rzeczywistej nędzy.

* * *

Czy dałby kto temu wiarę, pisze „Kaliszanin“ że w tutejszem gimnazyjum męzkiem znajduje się uczeń, liczący dopiero 13 lat wieku, który *każdodziennie*, bez względu na stan pogody i temperaturę powietrza, przychodzi pieszo z Opatówka, oddalonego od Kalisza o 9 wiorst, i tęż samą drogę odbywa wieczorem napowrót? Kiedy niekiedy szczęśliwy traf dozwoli mu podjechać na cudzym wózku, ale to są tylko wyjątki od owej dawnej zasady, że *qui konios non habet, piechotare debet*. Ubodzy, choć pracowici rodzice, nie są w możności zapłacenia komuś tu w mieście za stół i stancyją biedaka, który, aż strach pomyśleć, nie ma nawet ciepłego odzienia, a zima podwójnym pośpiesza do nas krokiem. Co uczyni dla tego malca Kalisz, tego odgadnąć nie umiemy, za to tylko możemy ręczyć, że po ogłoszeniu podobnego faktu w którem z pism warszawskich, posypałyby się zaraz nazajutrz hojne ofiary w gotowiźnie i w naturze, i łza niedoli dzieciaka oschłaby prędko pod działaniem promieni uśmiechów uszczęśliwienia. Wątpimy, aby Kalisz, ten „gród milijonerów.“ nie skorzystał tym razem ze sposobności pokazania światu że główna słowiańska cecha, współczucie dla cierpiących, nie zatarła się w nim jeszcze *do cna*, że się tak wyrazimy, czysto „po kalisku.“ I my—dodajemy od siebie, wątpimy też także aby w Kaliszu fakt taki skoro ujawnionym został, nie wywołał najżywszego i skuteczne go współczucia. Ciekawiśmy też bardzo...

* * *

Jak należy być ostrożnie z zagranicznemi guwernerami do których na nieszczęście taki bałwochwalczy czujemy pociąg i w jak niefortunne często ręce oddajemy sprawę wychowania dzieci naszych, o tem pisaliśmy już nie raz, na poparcie więc praktyczne teoryj naszych podajemy dziś fakcik pomieszczony świeżo w gazecie Kieleckiej: Smutny wypadek przeniewierstwa zdarzył się w naszej okolicy. W pewnym domu w Miechowskim przebywał od niejakiego czasu, guwerner, rodem z Alzacyi. Nie mając jednak tam dostatecznego utrzymania, starał się przez zawiązanie stosunków otrzymać takowe i w tym celu zaproponował niektórym z zamożniejszej starozakonnej młodzieży w Działoszycach udzielanie im lekcyj języka francuzkiego. A ponieważ tutejsi młodzi postępowi Izraelici chętnie się uczą języka Moliera, umowa między stronami bez trudności zawartą została i nasz francuz, który dla braku funduszów mieszkać w Działoszycach nie mógł, zobowiązał się codziennie w godzinach popołudniowych przyjeżdżać z sąsiedniej wioski do miasta, celem udzielania lekcyj.

Niedługo jednak korzystano z jego nauki, albowiem p. A. B. z Racławic obiecał guwernerowi, oprócz mieszkania i stołu bezpłatnego, bardzo przyzwoitą roczną pensyją.

Wkrótce potem p. A. B. zabrał francuza do siebie i oddał dzieci jego opiece. Rudowłosy francuz niezmiernie był kontent z tego obrotu rzeczy i natychmiast udał się na nową posadę, na której wytrwał, jeżeli się nie mylę, od m. grudnia r. 1874 do końca września roku b. Przyczyną tego krótkiego pobytu w Racławicach, jak się zdaje było to, że francuz „nie mógł odróżnić, co moje a co twoje“ i pewnego pięknego poranku, z pańskiego biurka wydostał kluczyki, otworzył niemi szufladki, gdzie były schowane drogocenne klejnoty, na rs. 6000 przez właściciela oszacowane i takowe przywłaszczył sobie. Bezwstydny złoczyńca, który przez krótki czas pobytu umiał pozyskać zaufanie p. A. B. debatował nad tem jak się ze zdobyczą na świat wydostać, w tej mierze pokazał żonie p. A. B. list w którym siostra jego (guwernera), zagranicą mieszkająca prosi go, aby do niej przyjechał na dni kilka. Otrzymawszy żądany urlop, p. A. B. swemi końmi kazał jeszcze guwernera odwieść do komory w Michałowicach.

W kilka dni po wyjeździe guwernera, spostrzeżono że zamek w biurku był wyłamany, kilku kluczyków brakowało a co najważniejsza że klejnoty znikły. Pan A. B. nie tracąc czasu natychmiast udał się za francuzem w pogoń do Krakowa, gdzie za staraniem tamecznej policyi udało się odzyskać kilka sztuk kosztowności już spieniężonych. W celu schwytania złodzieja policyja krakowska wysłała podobno swego agenta do Wiednia, dokąd złodziej miał się udać.

* * *

Nakładem drukarni Wł. Dębskiego wyszła w tych czasach najnowsza praca D-ra filozofii Pana Julijana Ochorowicza p. t. *Z dziennika psychologa.* O pracy tej jak również o innych dziełach wyszłych w tych czasach na widok publiczny, pomówimy wkrótce obszerniej, a tymczasem zaznaczamy tylko wyszłe: *Czytania Religijno-moralne* dla młodych osób przez Feliksę Eger autorkę Katechizmu dogmatyczno-historycznego, *Rozbitki* albo dwudziestomiesięczny pobyt na wyspach Auklandzkich, F. E. Raynala, wydanie S. Orgelbranda synów, *Małe kobietki*, powiastka z francuzkiego dla młodego pokolenia, przez Zofiję Grabowską przełożona, i *Wody zaskórne w Warszawie* przez Józefa Spornego Inżyniera.

* * *

Nawet znane z zacofania Podlasie, daje widoczne znaki lepszego życia! Oto np. w Łukowie, dzięki staraniom paru zacnych i dalej nieco widzących obywateli miejscowych, uorganizował się *stały amatorski teatrzyk*, który dzisiaj już rozwinął swoję działalność w prawdziwie pożytecznym kierunku.

Pierwsze przedstawienie odbyło się na korzyść pogorzelców pułtuskich a dwa następne na również filantropijną intencyją, bo na dochód miejscowego szpitala. Takiemu krzątaniu na partykularzu przyklaskujemy gorąco, nie wątpiąc że przykład uczciwy, coraz więcej naśladowców napotka.

* * *

Śmierć zabrała nam jednego ze skrzętnych pracowników na naszej ubogiej niwie pedagogicznej. S. p. August Jeske, autor systematycznego kursu nauk, pisze „Gazeta Warsz.,“ urodzony w Trzemesznie w r. 1845, zakończył życie w Warszawie. Po ukończeniu nauk w Berlinie redagował Nadwiślanina, pocem przybywszy do Warszawy oddawał się nauczycielstwu i był współpracownikiem Tygodnika Illustrowanego i Wieńca. Ostatnie lata poświęcił na przygotowanie szeregu

podręczników pedagogicznych, które miały w „systematycznym kursie“ objąć cały obszar nauk niezbędnych w wychowaniu początkowem. Śmierć niepozwoliła mu dokończyć tej pracy. Niektóre z wyszłych już podręczników, bezwątpienia znane wielu z naszych czytelników, doczekały się powtórnych wydań, starannie poprawianych przez autora. Podręczniki te mają niezaprzeczoną wartość i zaleca ich bardzo szczęśliwie myśl przeprowadzenia metody poglądowej i indukcyjnej, jedynie właściwej i skutecznej w wychowaniu początkowem, w całym „systematycznym kursie.“ Ś. p. August Jeske dobrze się zasłużył naszemu społeczeństwu i sprawom wychowania i pomysły jego jak i pamięć o nim, mamy nadzieję, nie zaginą. Pokój więc jego popiołom!

BEETHOVEN.

Fantastyczna charakterystyka.

Poświęcona wszystkim miłośnikom muzyki i wielbicielom wielkiego męża,

Ernesta Ortlepp.

Przełożył z niemieckiego

H. B.

(Dokończenie)

III.

Pomnik Beethovena.

Nie ma chyba na całym świecie lepszego pomnika nad ten, jaki wystawiono Gustawowi Adolfowi pod Lützen. Jest nim prosty kamień i otaczają go cztery topole.

„Stój! i czekaj! albo też jedź sobie dalej. Ja pozostanę tutaj!“ Tak zawołał niegdyś jeden z poetów, któremu tędy wypadła droga.

Mówią teraz bardzo wiele o pomniku dla Beethovena. Podobno takowy ma być wystawionym, ale nie wiem gdzie i kiedy, jak również, dla czego?

Gazet nigdy nie czytam, choć dawniej byłem tak niedorzecznym, żem napisał to i owo o polityce. Kto pisze o polityce, ten się na niej wcale nie zna, albo raczej jej nie ma. Dowcip teraz już prawie wcale nie istnieje na świecie. Ci, którzy dziś sobie wyobrażają, że są dowcipnymi, krzywią się i wyją, chcąc nas przekonać, że się śmieją, zaś ci, którzy zwracają jedynie uwagę na zewnętrzne grymasy, są w samej rzeczy tak naiwnymi, że dają się oszukać. Wiara, zawsze zbawia, zarówno tych którzy wierzą, jako też i tych, w których się wierzy. *Sterne* był prawdziwym humorystą.

Beethoven miał słabość politykowania, i wymyślał ile wlazło na wszystkich dyplomatów Europy. Ale wiedeńska policyja znała go dobrze, i tylko się uśmiechała, gdyż Beethoven był jedynie muzykalnym rewolucyjonistą.

Rewulucyja francuska natchnęła Beethovena symfoniją, którą nazwał „Bonaparte.“ Wtem, pewnego pięknego poranku przeczytał w gazetach, że jego ideał polityczny, konsul francuzki, ogłosił się cesarzem. To zaniepokoiło mocno Beethovena, i zaraz po powrocie do domu, zerwał tytułową kartę nowej symfonii, przymocował inną i napisał: „*Symphonia eroica.*“

A zatem pomnik dla Beethovena! Wcale nie zła myśl!

Pewnego razu śniło mi się o takim pomniku. Widziałem przed sobą olbrzymi pałac, sięgający wyżej obłoków. Kolumny, na których tenże był wspartym, były daleko wyższe niż oko ludzkie dojrzeć może. Kopuły, prawie wcale nie było widać, gdyż rozpływała się pomiędzy gwiazdami, albo raczej składała się z samych gwiazd. Ludzie gapili się w górę przez okulary i lunety; ale widzieli jeszcze mniej niż ja. Pałac ten zdawał się być zaczętym w stylu greckim, ale spostrzegłem mnóstwo gotyckich łuków oraz liczne z kamienia powyciosane figurki; były też wszędzie wzdłuż kolumn napisy w hieroglifach. Oprócz tego, w samej budowie dostrzegłem wiele nowożytnego.

Dość, była to szczególniejsza mieszanina, budowa, na widok której każdy porządny architekt niezawodnie by zemdlał. Nie jestem architektem, i w ogóle tylko opowiadam jak mój sen budował.

Przed tym pałacem, były cztery pawilony lub też oddziały. W pierwszym zielenił się lasek brzozowy, w którym śpiewały słowiki i słychać było głos kukułki. Tu panowała wieczna *wiosna*.

W drugim oddziale, złociły się dojrzałe kłosy i słońce paliło; nastała burza, i pioruny krzyżowały się w ognistych zygzakach.

W trzecim, widać było wielkie rżysko; tu panowała jesień. Znajdował się też tam cmentarz z samemi żywemi grobowcami; kamienie bowiem byli to muzykanci, którzy wykonywali bardzo smętną symfoniją. Na gołej skale, wysoko, spostrzegłem, obok ossyańskiej dziewicy grającej na harfie, ogromnego dyrektora muzyki, który potężnym dębowym pniakiem takt wybijał.

Czwarty oddział pokryty był śniegiem, i przesuwały się po nim sanie z pijanymi chłopami: z karczmy wiejskiej dolatywały mnie dźwięki muzyki do tańca; mały zaś krępy człowieczek biegł sam jeden przez pole, załamywał ręce, i płacząc zawołał sto razy: „Adelaido! Adelaido!“ — „Ach! nastała moja zima! rzekł dalej; wiosna była tak piękną! Gdzie podziały się twoje świetlane postacie, ukochana wiosno? Gdzie jest twój maj? Gdzie są twoje kwiaty? Dałaś mi kiedyś prześliczną czerwoną różę; zbladła i zwiędła..... Nic zgoła już nie mam! Tam na cmentarzu leży nawet mój Florio! Drugie moje serce bić przestało!“

Tak wyrzekał staruszek; pobiegł do pokrytej śniegiem mogiły Floria, rozrył ją, położył się u boku przyjaciela i zasnął.

O wielkich ludziach właściwie nie można wcale powiedzieć, że umarli. Tak myślą prawie wszyscy o Napoleonie — gdyż tenże niezawodnie jeszcze żyć musi. Wielu tak myśli o Goethem, o Jean Paulu i o Beethovenie. Beethoven żyje jeszcze; tylko już nic nie pisze; znudziło mu się bowiem pisać dla tak okropnej massy osłów.

Ale à propos owego pałacu, muszę też jeszcze coś powiedzieć o jego wnętrzu. Wszedłem tedy przez wielki portyk. Pierwsze co zwróciło moję uwagę, była to trumna z mumiją. Na około trumny był napis w ognistych literach:

„Tu spoczywa dyjabeł — Requiescat in pace. Był porządnym człowiekiem.“

Dalej przechodziłem obok numerowanych komnat. Na drzwiach Nr. 1 czytałem: „JW. Radca tajny przyjmuje tylko od 6 — 7 rano.“ Miałem ze sobą listy rekomendacyjne, i chętnie chciałem widzieć *Goethego*. Zostałem przyjęty, i mówiłem z nim. Zajmuje on się teraz więcej niż dawniej łaciną. Więcej ani słowa o nim.

Pod numerem 2 mieszkał *Herder*. Tenże rzekł do mnie: „Kochany przyjacielu! istnieje wieczne piękno, i dla tego......“

Ale w połowie tego zdania, sen mój rzucił mnie do *Hamanna* pod Nr. 5. Wiadomo, że tenże był inspektorem ekspedytury towarów; zdawał się on ciągle jeszcze z zamiłowaniem pracować w swoim zawodzie, gdyż siedział na pace i trzymał książkę w ręku. Mówił do siebie, ale nie ze mną.

Udałem się pod Nr. 8 do *Haydna*. Tenże zagrał mi swoję *cis* moll sonatę. Musiałem mu wiele opowiadać o Berliozie, Chopinie i Schumanie. Gdym wspomniał o Beethovenie, zawołał: „Czyliż nie powiedziałem!....“

Mozart, pod Nr. 11, był w bardzo dobrym humorze. Zajmowała go Klara Wieck. Rzekł on do mnie: „Jej ojciec musiał być dzielnym człowiekiem, a jego córka daleko więcej warta niż moja siostra.“ Mówił jeszcze wiele rzeczy, ale nie mogę nic z tego wszystkiego zdradzić......

Teraz doszedłem do Nr. 1736, który wyglądał jak jaki los loteryjny. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem siedzących tamże dwóch ludzi; byli to: *Beethoven* i *Jean Paul*. Przez okienko zaglądała z drugiej strony jakaś twarz, także mi znajoma: był to dyrektor muzyki *Kreisler*. Byłem bardzo zaciekawiony, spodziewając się, że coś nowego usłyszę; ale sny niegodziwie z nami postępują. Gdym właśnie chciał Beethovena schwytać za rękę, doznałem jakby elektrycznego wstrząśnienia; Beethoven i Jean Paul rozpłynęli się jak cienie; pałac i wszystko w około znikło, i oto leżę na łóżku i widzę najzwyczajniejszy brzask dzienny, doznając najprozaiczniejszego uczucia.

Dla czegóż jesteśmy przymuszeni żyć? Dla czego nie mam milijona w majątku; mógłbym wtedy wybudować wielkie miasto. Nie wznosiłbym wcale pomników dla zmarłych, gdyż oni są zabezpieczeni i już po za sobą mają ten nędzny żywot. Nie, wybudowałbym miasto dla żyjących artystów, dla poetów, malarzy, muzyków, którzy włóczą się po świecie i muszą płacić nie tylko komorne ale nadto mizerne rachunki restauratorów, krawców a nawet najgłupsze pod słońcem weksle, które podpisali w krytycznej chwili, nie domyślając się wcale, że kto wystawia weksel, nie może się spodziewać lepszego losu od szlachetnego Fausta, którego szatan porwał.

Przychodzi mi właśnie na myśl napis, jaki by można w złocistych literach wyryć na pomnikach większej części mistrzów sztuki.

Brzmi on w sposób następujący:

„Tu spoczywa N. N., jeden z największych genijuszów swojego czasu. Dopóki żył, obrzucaliśmy go błotem i pozwoliliśmy mu głód cierpieć; nazywaliśmy go przybłędą, i nie cierpieliśmy go pomiędzy nami. Ale teraz, gdy tenże już umarł, i gdyśmy powzięli pewność, żeśmy go się na wieki wieków pozbyli, teraz, otwierają się nam oczy. Zmarły już nie może ani jeść ani pić, nie może też już długów ro-

bić. To bardzo jest chwalebnem z jego strony. Aby się tedy raz na zawsze z nim skwitować, i nas bałwanów przytem także trochę upamiętnić, postawimy mu pomnik, który więcej kosztować będzie, aniżeli nieboszczyk, którego dyjabli wzięli, przez ciąg całego swego życia mógł był potrzebować."

O losie! O ludzkości!...

Najlepszy uczeń Beethovena, *Ries* jest szczęśliwym. Beethoven nie był nim nigdy. Nie wmawiajcie we mnie! Nie było na świecie człowieka więcej nieszczęśliwego od naszego biednego *głuchego Ludwika.* Wystawcie mu pomnik, jeżeli tego koniecznie pragniecie. Gdyby on sam mógł wam podziękować, uczyniłby to z sardonicznym uśmiechem. Przemówiłby do was, ale westchnienie „Adelaida" zagłuszyłoby jego słowa. Adelaida wyszła za bogatego barona. Czemże jest biedny muzyk w porównaniu z bogatym baronem? Ona żyje jeszcze i dobrze się zakonserwowała, ale mąż nie został jej wiernym w przywiązaniu. Pieniądze ożeniły się z pieniędzmi. Często myślała ona o Beethovenie, i słuchając jego symfonii zalewała się łzami. Gdy posłyszała o jego śmierci, spostrzeżono w niej początki obłąkania. Wyzdrowiała jednak. Ludwik byłby pozostał jej wiernym; byłby z nią szczęśliwym......

O! wy nadobne dziewice, kiedyż dojdziecie do tego, że w małżeństwie, zamiast łączyć się z ciałami, domami i workami złota, zespalać się będziecie z duchami i duszami?

Zdaje mi się, że nigdy; gdyż mała tylko z was liczba ma ducha i duszę. Większość jest ziemią, niektóre nawet wcale ładną ziemią, ale zawsze ziemią; a z ziemi nie ulepisz nieba!

Jakżebym się teraz wydał śmiesznym przed samym sobą, gdybym jeszcze chciał objawić moje zdanie co do pomnika Beethovena. Na pomniku dla Jean Paula np. możnaby jeszcze wymienić, jak mu niegdyś jeden z jego szczerych przyjaciół będąc śmiertelnie chorym napisał, aby przybył na ostatnie pożegnanie, a jak mu Jean Paul odpowiedział, że przyjść nie może, gdyż nie ma *całych butów*! Beethoven miał siedmiomilowe buty, jak nieporównany „Piotr Schlemihl" Chamissa.

O! ile razy pomyślę o tej książce, chciałbym uściskać Chamissa. Jego „Schlemihl" stoi powyżej Jean Paula, wyżej od Hippla i Hoffmana, chociaż to są ludzie jakich dziś już nie posiadamy.

„Schlemihl" Chamissa, stoi bezpośrednio obok dziewiątej symfonii Beethovena...

Czyliżby ta symfonija nie dała się uzmysłowić? Zdaje mi się, że tego mógłby dokonać dobry architekt, a stanąłby najlepszy pomnik dla Beethovena.

GÓRA Z RUINAMI ZAMKU KRÓLOWEJ BONY
w Krzemieńcu.

O zamku którego szczątki przedstawia nam rycina, napotykamy pierwszą wzmiankę w historyi panowania Zygmunta I. Monarcha ten w r. 1533 miasto Krzemieniec i zamek jako starostwo nadaje swojej żonie kr. Bonie z obowiązkiem naprawienia zamku i utrzymania w nim osady. Lew Patej Tyszkiewicz wysłany jako djak wielkoksiążęcy w r. 1542 na lustrowanie zamków wołyńskich, daje szczegółowy opis zamku tutejszego. Między innemi powiada: most nadpsuty wjazdowy potrzebuje reperacyi, lepiej go umieścić jak poprzednio było przy baszcie Czerlenej, gdyż łatwiejsza obrona; za tym mostem na bastyjonie horodnia obszerna, w której za ks. biskupa drabanci mieszkali i msza się odprawiała. Biskupem tym był ks. Janusz biskup wileński. Za tą horodnią most zwodzony na łańcuchach, brama, a nad nią wieża wielka i wysoka. Tenże biskup lubując się swym zamkiem, chciał go uczynić niedostępnym, przeto począł wewnątrz pod ścianami kopać rów z zamiarem podeprzeć je kontrskarpami, a w rowach urządzić mieszkania i wszelkie zapasy. Ziemię wyrzucono na stronę od góry Czerneczej, jako punkt najniebezpieczniejszy dla fortecy; zewnątrz muru miały stanąć baszty dla obrony miasta, lecz roboty ukończone nie zostały, wykopane rowy zasunęły się że i śladu nie było; dopiero 20 sierpnia 1785 r. po ulewnych deszczach, nasypowa ziemia przy północnej stronie ściany z ogromnym hukiem oderwała się i utworzyła pagórek dotąd widzialny, a wówczas nikt jeszcze nie wiedział, że to zsunęła się ziemia przed 250 laty nasypana. Po zwycięztwie korsuńskiem sławny z okrucieństwa Maxym Krzywonos w 7000 kozaków zajął 1648 roku miasto i zamek słabo przez Rusinów broniony. Od tego czasu nie przyszedł już zamek do dawnego stanu, a nie mając wsparcia od rządu ani od starostw, coraz więcej niszczał i upadał.

Stanisław August w przejeździe do Wiszniowca zajechał do Krzemieńca d. 15 października 1781 r. i zdjęty ciekawością udał się pieszo oglądać potężny niegdyś zamek. Wówczas znajdował się on w stanie następującym: Zamczysko stare na wysokiej górze w którym mur tylko cyrkularny, w dwóch miejscach w znacznej części rozwalony; w murze brama na niej wieża górna, na dole chałupka; na boku izba sklepiona o oknie z kratą żelazną; w tej izbie archiwum grodzkie; pod tą izbą wieża dolna, z tej izby dwie izdebek opustoszałych.

W jakim stanie dziś zostaje zamek kr. Bony dość spojrzeć na załączony tu drzeworyt, by powziąć o tem wyobrażenie. Ze wspaniałych niegdyś gmachów, później malowniczych ruin, teraz widać tylko kawał kolistego muru na niedostępnej górze. Nazwaliśmy ją *niedostępną*. Należy się jej rzeczywiście ta nazwa, bo nieznajomy miejscowości pomimo największych usiłowań dostania się na wierzch za nic dokazać nie zdoła, tak góra jest stroma, gładka i bez żadnych zarośli, mogących służyć do czepiania się wdrapującemu. Miejscowi tylko mieszkańcy znają ścieżynki po których można dostać się na wierzchołek góry. Z przewodnikiem więc chyba ciekawy turysta może dopełnić tej wyprawy. W przeciwnym zaś razie śmiałek puszczający się samopas może dojść do takiego punktu, że tak naprzód jak i wstecz ruszyć mu się będzie nie podobna.

Ta więc trudność dotarcia do zwalisk zamkowych właśnie powoduje wielką liczbę zwiedzających. Od jednego z takowych nabywszy trochę relacyi i wizerunek ciekawych (o tyle o ile) ruin, dzielę się niemi chętnie ze współczytelnikami „Opiekuna Domowego."

Witold Chłopicki.

FANTAZYJA D^ra OX
przez
Julijusza Verne.

I.

Jak bezpożytecznem jest szukać miasteczka Quiquendonc nawet na najdokładniejszych kartach geograficznych.

Jeżeli szukać będziecie na mappie starożytnej lub nowożytnej Flandryi, miasteczka Quiquendonc, prawdopodobnem jest, że go tam nie znajdziecie. Czyż więc Quiquendonc zaginęło? Nie. Czy ma być miastem dopiero w przyszłości? Wcale nie. Istnieje ono na przekór geografii, istnieje od lat ośmiuset czy dziewięciuset nawet, a przypuszczając że ma duszę każdy z jego mieszkańców, liczy dwa tysiące trzysta dziewiędziesiąt trzy dusze. Quiquendonc leży o trzynaście i pół kilometrów na północo-wschód Audenardu, a o piętnaście i ćwierć kilom. na południe Bruges, w samym środku Flandryi. Vaar rzeczka wpadająca do Escaut przepływa pod jego trzema mostami, silnie przypominającemi budową odległe czasy średniowieczne... Chwalą tu stary zamek, którego węgielny kamień położył w 1197 r. Baudouin (późniejszy cesarz w Konstantynopolu), oraz ratusz o dwóch oknach gotyckich i okrągłej wieżyczce wzniesionej po nad poziom o 357 stóp. Z wieżyczki tej daje się słyszeć co godzina kurant zegarowy o pięciu oktawach, istny fortepijan napowietrzny, którego sława przewyższa o wiele sławę głośnego zegaru z kurantem w Bruges. Cudzoziemiec, zabłądziwszy kiedy niekiedy do Quiquendonc, nie opuszcza go nigdy nie zwiedziwszy sali Statuderów, ozdobionej portretem Wilhelma de Nassau, malowanym przez Brandona; ambony kościoła świętej Magloiry, arcydzieła architektury XVI wieku; studni z żelazalanego, wydrążonej w środku wielkiego placu św. Erunfa, której wspaniałą ornamentacyją wykonał Quentin Metsys, malarz kowal, i grobu kiedyś Maryi Burgundzkiej, córki Karola Śmiałego, spoczywającej teraz w kościele Notre-Dame w Bruges... Głównym przedmiotem handlu miasteczka Quiquendonc jest sprzedaż na wielką skalę śmietany i cukru owsianego. Władza miejska od niepamiętnych czasów, spoczywa w ręku członków rodziny van Tricasse, a mimo to przecież wszystko, Quiquendonc nie znajduje się, jakeśmy już powiedzieli na karcie Flandryi! Czy to więc nieudolność geografów czy umyślne złośliwe opuszczenie? Tego wam wytłómaczyć nie mogę; ale za to zapewniam najuroczyściej, że Quiquendonc istnieje w rzeczywistości, że ma małe wązkie uliczki niekoniecznie pokaźne domostwa, targi i burmistrza, a nadto Quiquendonc niezbyt dawno było widownią wypadków zadziwiających, nadzwyczajnych, nieprawdopodobnych a jednak prawdziwych, które w dalszym ciągu jak najwierniej opowiem.

Trudno doprawdy nietylko powiedzieć, ale nawet pomyśleć choćby cokolwiek złego o mieszkańcach wschodniej Flandryi. Ludzie to bogaci, mądrzy, oszczędni, towarzyscy, uprzejmi, gościnni, trochę może ociężali w mowie i na umyśle, ależ ten ostatni niedostatek nie wyjaśnia dla czego jedno z najbardziej zajmujących miast na ich terrytoryjum, ma dopiero kiedyś tam kiedyś figurować w topografii nowożytnej.

Opuszczenie to byłoby ma się rozumieć daleko smutniejszem, gdyby historyja lub w braku historyi kronika, albo w braku kroniki tradycyja kraju czyniły już kiedy wzmiankę jaką o tak niesprawiedliwie zapoznanem miasteczku! Aliści ani atlasy, ani przewodniki ani też opisy podróży nic o niem nigdzie nie mówią. Nawet M. Jeanne, ten przezorny historyjograf wiosek, nie mówi o niem ani słowa. Bogu samemu wiadomo jak takie milczenie źle oddziaływa na handel i przemysł miejscowy, chociaż muszę tu nadmienić, że Quiquendonc nie ma ani przemysłu ani handlu, i że obchodzi się bez tego doskonale. Cukier owsiany i śmietana konsumuje się na miejscu i nigdzie się nic nie wysyła. Mieszkańcom wszakże Quiquendonc niczego nie brakuje. Żądze ich są umiarkowane, życie skromne; spokojni są, zimni, flegmatyczni, jednem słowem „Flamandowie są,“ jakich się spotyka jeszcze niekiedy pomiędzy Escaut i morzem Północnem.

II.

W którym burmistrz van Tricasse i radny Niklausse rozmawiają o interesach miasta.

— Pan sądzisz? rzekł burmistrz.

— Tak... sądzę... odpowiedział radny po kilku minutach milczenia.

— Że tego nie można lekceważyć, dodał uroczyście burmistrz.

— Lat to już dziesięć jak rozmyślamy o tym ważnym interesie, odpowiedział radny Niklausse, a jednak upewniam pana, panie van Tricasse, że na swoję odpowiedzialność przyjąć tego nie mogę...

— Pojmuję dobrze pańskie obawy, odrzekł pan van Tricasse po kwadransie namysłu; pojmuję pańskie obawy i zupełnie je podzielam. Nie możemy wydawać decyzyi nie zbadawszy najdokładniej wpierw sprawy.

— Posada komisarza cywilnego, chyba że niejest potrzebną w mieście tak spokojnem jak Quiquendonc, odezwał się Niklausse.

— Poprzednik nasz, rzekł van Tricasse tonem poważnym; poprzednik nasz mi powiedział, że nigdy nie ośmielał się tego powiedzieć, aby sąd jakiś mógł być zupełnie pewnym. Każde twierdzenie podlega często skutkom wcale nieprzyjemnym.

Radny kiwnął głową na znak, że podziela to zupełnie sprawiedliwe zdanie i zamilkł na pół godziny. Po tej przerwie podczas której ani radny ani burmistz palcem nawet nie poruszyli, Niklausse zapytał van Tricassa, czy jego poprzednik, tak przed dwudziestoma dajmy na to laty, nie miał na myśli zniesienia posady komisarza cywilnego, rok rocznie obciążającej budżet miasta Quiquendonc summą tysiąca trzystu sześćdziesięciu pięciu franków, z centymami.

— W samej rzeczy to jest rzeczywiście, odrzekł burmistrz, podnosząc z majestatyczną powagą rękę do gładkiego czoła; w samej rzeczy, zacny ten człowiek umarł zanim zdołał zadecydować, tak tę jak i wiele innych kwestyj spornych. To było i taktowne i mądre. Dla czegoż nie miałbym pójść w jego ślady?

Radny Niklausse, nie był zdolnym do opozycyi, więc nie odrzekł ani słowa.

— Człowiek, który umiera nic nie zdecydowawszy, dorzucił poważnie van Tricasse, bliskim jest osiągnienia doskonałości na tym świecie! poczem przycisnął do ust koniec małego palca tłumiąc głos i wydając lekkie westchnienie. Prawie w tej samej chwili kroki jakieś lekkie, dały się posłyszeć w sieni. Mysz nie uczyniłaby mniejszego szelestu sunąc po miękkim kobiercu. Drzwi pokoju otwarły się i ukazała się w nich młoda dziewczyna, blondynka o długich włosach i jasnem wejrzeniu. Była to Suzel van Tricasse, jedyna córka burmistrza. Podała ojcu fajkę nałożoną z przykrywką miedzianą, i nie rzekłszy słowa znikła tak cichutko, jak się zjawiła.

Pan burmistrz zapalił lulkę i otoczył się wkrótce obłokiem niebieskawego dymu, a radny Niklausse pogrążył się tymczasem w głębokiej zadumie.

Pokój, w którym debatowali dwaj znakomici mężowie, był gabinetem suto ozdobionym w rzeźby z ciemnego jakiegoś drzewa. Wysoki kominek z obszernem ogniskiem, na którem można było pomieścić cały dąb, albo upiec tęgiego wołu, zajmował jednę ścianę gabinetu, i stał naprzeciwko okna okratowanego, którego szyby kolorowe łagodziły promienie światła dziennego. Po nad kominkiem w ramach starożytnych wisiał portret jakiegoś dobrodusznego człeczyny, dzieło niby malarza Hemlinga, przedstawiające jednego z przodków van Tricassa, wywodzących ród swój od XIV wieku i z czasów w których Flamandczykowie i Gui z Dampierre, walczyli przeciwko cesarzowi Rudolfowi Habsburskiemu.

Gabinet ten to część domu burmistrza, najpiękniejszego ma się rozumieć w Quiquendonc; zbudowanego w guście flamandzkim i ze wszystkiemi możliwemi grymasami. W klasztorze Kartuzów albo w instytucie głuchoniemych, nigdy spokojniej jak w tym domu nie było. Nie posłyszałeś tam nigdy najmniejszego hałasu, bo nie chodzono tam lecz się przesuwano; nie mówiono lecz szeptano. A płci pięknej nie brakowało w tym przybytku wszelako. Oprócz burmistrza żyły tutaj, żona jego pani Brygida van Tricasse, córka Suzel van Tricasse, i służąca Lothé Jansehén. Mieszkała tu również siostra burmistra, ciotka Hermancyja, stara panna używająca również imienia Tatanémancyi, nadanego jej kiedyś przez siostrzenicę Suzel, kiedy jeszcze była dzieckiem. Pomimo otóż tylu i tak zapalnych łatwo żywiołów, w domu burmistrzu panował wieczysty pokój.

Burmistrz miał lat pięćdziesiąt, nie tłusty nie chudy, nie mały nie duży, nie stary nie młody, nie wesoły nie smutny, nie zadowolony nie znudzony, nie energiczny nie miękki, nie dumny nie pokorny, nie dobry nie zły, nie rozrzutny nie chciwy, nie mężny nie tchórz, słowem nie za wiele nie za mało, *ne quid nimis*; człowiek umiarkowany we wszystkiem; lecz po niezmiennej powolności jego ruchów, po dolnych policzkach nieco zwieszonych, po powiece stale podniesionej w górę, po czole gładkiem, jak mosiężna płyta bez zmarszczki, po muskułach mało wydatnych, fizyjognomista mógł bez wielu trudów rozpoznać, że pan van Tricasse, była to flegma uosobiona. Nigdy z gniewu ani namiętności lub jakiegoś doznanego wzruszenia, nie przyspieszało się bicie serca tego człowieka, nigdy oblicze jego nie nabierało kolorów, źrenica nigdy nie zmieniała swej wielkości, pod wpływem irytacyi prędko zresztą przechodzącej.

Odziewał się zawsze w jedno ubranie czysto utrzymane, w suknie ani za obszerne ani za ciasne, które się nigdy nie niszczyły. Obuty był w grube trzewiki z potrójnemi podeszwami i srebrnemi spinkami, które swą trwałością przyprowadzały do rozpaczy szewca. Na głowie nosił obszerny kapelusz, pamiętający epokę w której Flandryja była stanowczo odseparowaną od Holandyi, co pozwala przypisywać temu szacownemu nakryciu głowy, lat czterdzieści kilka. Namiętności zużywają ciało, duszę i nawet odzienie, a godny burmistrz apatyczny, niedbały, obojętny, do niczego namiętności nie objawiał. Nic więc nie niszczył i sam się nie zużywał a tym samym był jedynym człowiekiem odpowiednim do zarządu miastem Quiquendene i jego spokojnemi mieszkańcami.

Miasto rzeczywiście nie mniej było spokojne jak dom van Tricassa. Otóż w tej spokojnej siedzibie burmistrz liczył, że dojdzie do granic najodleglejszych życia ludzkiego; mniemając zawsze, że ukochana Brygida van Tricasse jego żona uprzedzi go do grobu, w którym nie znajdzie z pewnością spoczynku większego, nad ten jakiego od 60 lat zażywa już na ziemi.

Rzecz ta wszakże potrzebuje wytłómaczenia. Rodzina van Tricasse mogła słusznie nosić nazwisko Jeannot. A oto dla czego:

Każdemu z podań ludowych wiadomo o sławnym nigdy nie zużywającym się nożu Jeannota. Nóż ten rzeczywiście był nieśmiertelnym dzięki temu, iż gdy zużył się trzonek stary nowym go zastępowano, a gdy stępiło się i ostrze, ostrze nowe zaraz zakładano. Taka słowo w słowo manipulacyja praktykowała się od niepamiętnych czasów w familii van Tricasse, której nawet natura sprzyjała z nadzwyczajną przychylnością. Od r. 1340 widziano zawsze niezmiennie owdowiałego van Tricasse, żeniącego się z młodą osobą z familii van Tricasse, która znów młoda osoba owdowiawszy wychodziła za van Tricasse, młodszego od siebie i t. d. bez końca.

Otóż godna pani Brygida van Tricasse była powtórnie zamężną a przez poszanowanie tradycyj powinna była uprzedzić na tamten świat swojego małżonka o dziesięć lat młodszego; aby zrobić miejsce dla nowej pani van Tricasse. Szanowny burmistrz liczył na to na pewno i czekał...

Taki to był ten dom spokojny i cichy, którego drzwi nie skrzypiały, szyby nie brzęczały, podłogi nie uginały się, kominy nie

dymiły, meble nie trzeszczały, zamki nie klekotały i którego mieszkańcy chodzili cichutko, niby cienie przesuwających się po ziemi duchów. Dom ten boski Harpokrat wybrałby pewnie na świątynię pokoju. d. c. n.

GOSPODARSTWO
i PRZEMYSŁ DOMOWY.

Gęś pieczona nadziewana. Gęś młoda i podtuczona najlepszą jest na pieczyste. Oczyszczoną jak najstaranniej, natrzeć solą wewnątrz i zewnątrz, nadziać poprzekrawanemi w ćwiartki jabłkami, skropionemi reńskiem winem i posypanemi cynamonem, dodać majeranku, zaszyć i piec na rożnie lub w piecu na brytwannie, polewając szmalcem z początku, a potem jej własnym sosem; następnie trzeba włożyć w brytwannę pokrajaną w talerzyki cebulę, a na krótko przed wydaniem osypać mąką lub tartą bułką i zrumienić. Można też nadziać gęś mączystemi drobnemi kartoflami, czysto obranemi, dobrze wymytemi i ugotowanemi w rosole, upieką się one wybornie, bo przesiąkną szmalcem.

Doskonale też smakują gęsie wątrobki, moczone naprzód w mleku, a potem smażone na gęsim szmalcu z cebulkami w talarki pokrajanemi. Szmalec zaś gęsi do chleba przesmarza się z cebulą, jabłkami i majerankiem, a po usmażeniu przecedza przez sitko.

Szczupak pieczony. Oskrobanego i oczyszczonego szczupaka posolić i postawić na parę godzin, a tymczasem wyłożyć brytwannę świeżą słoninką, pokrajaną w cienkie plasterki, oraz cebulą, marchwią i pietruszką. Położyć na niej następnie szczupaka, nakryć go znowu na wierzch słoninką i wstawić do gorącego pieca a na chwil parę przed wydaniem osypać tartą bułeczką i przyrumienić.

Sos polski szary do ozorów, ryb, prosiąt i t. p. Zrumienić łyżkę świeżego masła z dwiema łyżkami mąki, rozebrać to rumianym odwarem mięsnym, dobrze zagotować, przecedzić przez sito, dodać przegotowanego octu kilka łyżek, stosownie do smaku i gustu, spory kawał cukru, soku z pół cytryny a drugą połowę po oczyszczeniu z pestek pokrajać w talarki, wsypać rodzenków bez pestek, pokrajanych migdałów w paseczki i dolać wina odrobinę. Niech się zagotuje parę razy a sos dobry będzie gotów; gdyby zaś był za blady, dodać trochę karmelu.

Kuropatwy pieczone. Przedewszystkiem na cztery kuropatwy wziąć ćwierć funta masła świeżego, solonego, cztery łyżki tartej bułki suchej, soku z pół cytryny, łyżkę kwaśnej śmietany, szczyptę utartej gałki muszkatołowej i umieszać to razem jak najstaranniej. Potem kuropatwy oskubać, opalić nad tłustym zapalonym papierem, wytrzeć na sucho serwetą, gdyż kuropatw nie należy myć wodą. Następnie wyprawić, nasolić, naszpikować świeżą słoninką cienko pokrajaną, wsadzić na rożen, piec pół godziny wciąż polewając masłem, przyrumienić i zdjąć z rożna. Piersi nakroić w trzech miejscach, jak również i udka ponacinać i powyż przygotowaną mieszaniną ponakładać.

Przygotowanego jak na wstępie masła można użyć do kurcząt, pulard i kapłonów. W miejsce gałki muszkatołowej stosownie do gustu i upodobania można użyć tartego imbieru lub drobno usiekanych serdeli.

ROZMAITOŚCI.

Heine o Polkach.

Któż nie słyszał, kto nie zna Heinego utworów? Niektórzy nasi poeci przekładali Heinego, naśladowali go lub przedrzeźniali tylko; jedni wynosili go zbytecznie pod same niebiosa, drudzy niepotrzebnie strącali w otchłanie piekielne, a rzadko kto chciał go zrozumieć. I w samej rzeczy był-to talent nie mający sobie podobnego: żyd z urodzenia, a głosił najszczytniejsze prawa miłości chrześcijańskiej, Niemiec z pochodzenia, a nie było w nim i cieniu germańskiego samolubstwa; był ostry, złośliwy, dowcipny, pełen ironii, a obok tego miał serce wielkie, które ukochało gorąco wszystkie żywioły postępującej naprzód ludzkości.

Henryk Heine nim udał się na wygnanie do Francyi, zwiedził kraj nasz, a głównie część jego zachodnią, i wrażenia swoje zamieścił w berlińskiem czasopiśmie „Gesellschafter“ (z roku 1823 za miesiąc Styczeń w Nr. 10—17). Z całą swobodą, żadnemi uprzedzeniami nieskrępowanego ducha, wypowiada autor w formie listowej zdanie swoje, nader trafne i wielce dla nas sympatyczne o owoczesnym naszem społeczeństwie, i o różnych jego żywiołach.

Heine po krótkim wstępie poświęconym odmalowaniu miejscowości naszej, mówi o chłopie naszym, cichym i potulnym, podziwia jego zdrowy rozsądek, lecz ubolewa zarazem nad jego opuszczeniem się i poleganiem na opiekę dworu, spodziewając się bardzo słusznie, że nieunikniona z czasem emancypacyja potrafi go z tego odrętwienia uleczyć; mówi o szlachcie, uwydatniając, jak ze zmianą okoliczności politycznych miecz na pióro zamienia; rozwodzi się o żydach zowiąc ich na wpół seryjo prawdziwym *tiérs état*, brzydzi się niemi dla ich niechlujstwa i nieznośnego żargonu, będącego dziwną mieszaniną hebrejskiego i pokoszlawionego niemieckiego języka, wszelako zastanawiając się nad charakterem żyda niemieckiego i polskiego, temu ostatniemu daje pierwszeństwo. Mówi jeszcze o Niemcach tu zamieszkałych, o owoczesnem usposobieniu umysłów, o teatrze, o literaturze polskiej i t. d.

Wszystko to pomijamy, jako nie mogące tu znaleść właściwego pomieszczenia, przytaczając jedynie zdanie Heinego o owoczesnych Polkach. Wszelkie uwagi i komentarze uważamy za zbyteczne, niech czytelnik sam osądzi, o ile trafne lub przesadzone są słowa niemieckiego poety.

„A teraz uklęknij, pisze autor do przyjaciela, a przynajmniej odkryj głowę; bo będę ci mówił o polskich kobietach. Duch mój ulata nad brzegi Gangesu i szuka najwonniejszych, najcudniejszych kwiatów, aby je z niemi porównać. Lecz czemże są względem tych nadobnych istot wszystkie malliki, kuwalaye, oszadi, lotusy święte i inne jeszcze kwiaty, jak je tam zowią kamalata, pedma, kamala, tamala sirisza i t. d! Gdybym miał pendzel Rafaela, melodyje Mozarta, ogniste słowo Kalderona, możebym zdołał tchnąć w twoje piersi to uczucie, jakiegobyś doświadczył, gdyby prawdziwa Polka, ta istna nadwiślańska Afrodyte, ukazała się twoim ubłogosławionym oczom. Ale czemże są rafaelowskie mazaniny w porównaniu z tą godną ołtarza pięknością, jaką żywy Bóg utworzył w najradośniejszej chwili. Co znaczą mozartowskie brząkania w obec dźwięcznego słowa, tej istnej roskoszy dla ducha, jakie płynie z jej ust różanych. Czemże są kalderonowskie gwiazdy ziemskie i kwiaty niebieskie w porównaniu z temi uroczemi istotami, które również po kalderońsku aniołami ziemi nazywam, gdyż dla mnie sami aniołowie są Polkami nieba. Tak, mój drogi, kto spojrzał w jej oczy, w te oczy gazelli, ten uwierzy w niebo, chociażby najzapaleńszym był zwolennikiem barona Holbacha. . . . . . .

. . . .

Jeśli mam mówić o charakterze Polek, to powiem tylko, że są... kobietami. A któż zdoła określić charakter tych ostatnich?

Pewien wielce szanowny uczony napisał dziesięć ogromnych tomów „o charakterze kobiet,“ a w końcu własną żonę spotkał w objęciach wojskowego. Nie mówię tu, aby kobiety nie miały wcale charakteru. O nie, na miłość! nie! Mają one tylko dni odmienne jedne od drugich. Tej zaś zmienności charakteru ganić nie myślę; jest ona raczej zaletą. Cóż stanowi charakter, jeśli nie pewien systemat stereotypowych zasad. Jeśli zaś te są błędne, to całe życie takiego człowieka, który je sobie systematycznie w duszy ułożył, będzie jednym, długo trwającym błędem. Chwalimy takiego człowieka, mówimy o nim, że ma charakter, jeśli stale według jednych zasad postępuje, a nie pomyślimy, że on wyrzekł się wolności woli, że umysł jego nie postępuje naprzód, że stał się niewolniczym służalcem przestarzałych myśli. Nazywamy konsekwencyą, gdy ktoś wciąż obstaje przy tem, co raz na zawsze sobie ułożył i wypowiedział, i gotowiśmy podziwiać głupców i usprawiedliwiać złoczyńców, jeśli tylko pozwolimy im powiedzieć, że konsekwentnie postępowali. To jednak moralne ujarzmienie samego siebie spotykamy tylko u mężczyzn, w umyśle kobiet element wolności jest zawsze pełen życia i w ciągłym ruchu. Co dzień zmieniają swój pogląd na świat, najczęściej nie wiedząc same o tem. Wstają rano, jak dzieci niczem nieskrępowane, budują w południe cały systemat myśli, który upada wieczorem niby domek karciany. Jeśli dziś mają najgorsze zasady, to założyłbym się, że jutro mogą mieć najlepsze. Zdania swoje zmieniają tak często jak suknie. Jeśli nie zawładnęła niemi jaka myśl przemagająca, wtedy powstaje rzecz najucieszniejsza, bezkrólewie umysłowe. A ma to miejsce najczęściej u kobiet niewinnych i silnych i lepiej im z tem, niż nam mężczyznom, których abstrakcyjne latarnie rozumu częstokroć wiodą w manowce.

Nie sądź jednak, że tu występuję, jako *advocatus diaboli*, i wychwalam w kobiecie ten brak charakteru, na który tak głośnemi skargami użalają się młokosy i siwosze, pierwsi przez Amora, a drudzy przez Hymen zwiedzeni. Chciej także zauważyć, że w mojem ogólnem zdaniu o kobietach, głównie miałem na myśli Polki, gdyż Niemki po części stanowią tu wyjątek. Naród niemiecki przez wrodzone sobie zatapianie się w myślach ma wszelkie kwalifikacyje do stałego charakteru; stąd naturalnie i kobietom udzielił się pewien zapłodek, który z czasem wciąż się zwiększa, tak iż u leciwych pań niemieckich a nawet u kobiet w średnim wieku, t. j. u takich, którym czterdziestka minęła, znajdujemy już skórę charakteru porządnie zgrubiałą i łuskowatym pancerzem okrytą.

Ogromna zachodzi różnica pomiędzy Polkami i kobietami niemieckiemi, do czego bez wątpienia słowiańskie w ogóle, a polskie w szczególe obyczaje niemało się przyczyniły. Co do powabów i wdzięków nie chcę Polki wynosić nad Niemki, gdyż tu nie może być porównania. Któżby chciał przenosić Venerę Tycyjana nad Maryją Correggia? W pełnej słonecznego blasku dolinie kwiatami usłanej, wybrałbym Polkę za towarzyszkę, w ogrodzie wśród lip przy bladem świetle księżyca wolałbym Niemkę. Podróżując po Hiszpanii, Francyi i Italii chciałbym być razem z Polką, w podróży przez życie niechbymi towarzyszyła Niemka. Wzorów domowego pożycia, wychowania dzieci, skromnej pokory i wszystkich cichych cnót kobiety niemieckiej, nie wielebyśmy wśród Polek naliczyli. Ależ te cnoty domowe znajdują się i u nas jedynie w stanie średnim i u tej części szlachty, która się liczy do niego przez swoje obyczaje i pra-

wa. U reszty szlachty niemieckiej brak cnót domowych, daje się czuć w sposób daleko dotkliwszy, niż u szlachty polskiej. Owszem u tej ostatniej nigdy ów niedostatek nie sięga tak daleko, aby do niego przywiązywać wartość lub robić jakieś domysły, jak to ma miejsce względem dam niemieckich wysokiego rodu, które nie mając tyle pieniędzy, iżby mogły przewodzić nad stanem obywatelskim, usiłują się odznaczyć przez jego pogardę i przez staroszlacheckie przesądy. . . . .
. . . .

Uczucia religijne kobiet niemieckich, są daleko głębsze jak u Polek. Te żyją więcej na zewnątrz: jak dzieci swobodne, żegnają się pobożnie przed ołtarzami świętych, przebiegają przez życie niby przez redutową salę, i uśmiechają się i tańczą i powabne są zawsze. W istocie, nie chciałbym tej płochości Polek nazwać lekkomyślnością, której tak sprzyjają swobodne obyczaje polskie, połączone z lekkim tonem francuskim, a dalej język francuski, tak ulubiony u nich, iż mówią nim prawie jakby ojczystym, wreszcie sama literatura francuska, której romanse, jakby deser najsłodszy pochłaniają Polki z chciwością.

Co się dotycze czystości obyczajów, to jestem przekonany, że Polki bynajmniej nie ustępują Niemkom. Wybryki kilku polskich magnatek, przez swoję niezwykłość, zwróciły niekiedy na siebie wiele ciekawych oczu, a nasze pospólstwo, jak to dawniej zauważyłem, z kilku podejrzanej czystości egzemplarzy, które mu się przypadkiem nawiną, gotowe zaraz wyrokować o całym narodzie. Nadto, nie zapominaj, że Polki są piękne, a piękne kobiety, z wiadomych każdemu powodów, zwykle wystawione są na obmowę, której też Polkom prawie nie podobna uniknąć, jako szczerym, nieznającym obłudy i postępującym z pełną wdzięku nieoględnością. Wierz mi, że w Warszawie równie cnotliwie żyją jak w Berlinie, tylko że fale Wisły z większym płyną szumem, niżeli spokojne wody płytkiej Sprei.

J. P.

— W krakowskiej akademii umiejętności odbyło się d. 20 z. m. posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem prezesa akad: Dra Majera. Przewodniczący odczytuje list Dra Dietla, w którym tenże dziękuje kolegom za zaufanie, jakiem go zaszczycili, a oraz oświadcza, iż nie mogąc nadal dla słabości zdrowia pełnić obowiązków z tą godnością połączonych, zrzec się jej musi. Wydział uznając słuszność przytoczonych powodów, z ubolewaniem przyjmuje tę wiadomość i uchwala na wniosek przewodniczącego, przystąpić do wyboru dyrektora wydziału na osobnem posiedzeniu. Sekretarz wydziału Dr. Kuczyński zawiadamiając wydział o nadesłaniu przez p. W. Grzegorza Jakóblewicza b. jen. inż., dwóch prac: „O turbinie, jej rozbiór i udoskonalenie“ i „O architekturze miejskiej i wiejskiej i t. d.“, oświadcza zarazem, iż zdaniem jego prace te, mianowicie ostatnia, już z treści swojej niekwalifikują się do umieszczenia w pismach akademii, na co także zgodził się wydział po odczytaniu głównych ustępów z pierwszej rozprawy. Następnie prof. Dr. Karliński złożył przesłaną na ręce swoje pracę prof. Zbrożka: „Teoryja planimetru biegunowego“ i odczytał treść tej rozprawy, tudzież ocenę jej przez siebie i prof. Zbrożka, z której się okazuje, że prof. Zbrożek przyrząd ten znacznie ulepszył i teoryją jego pierwszy ściśle wyłożył. Wydział uchwalił odstąpić tę rozprawę komitetowi redakcyjnemu.

— Dok. Fritsche z Częstochowy zakomunikował „Medycynie“ list pisany do niego d. 22-go września r. b. przez Karola Darwina, w którym znakomity badacz przyrody zapowiada wyjście z druku nowego wydania dzieła jego p. n. „Variation of animals and plants under Domestication“ (O zmianach wywołanych u zwierząt i roślin pod wpływem hodowli) i zapytuje dra Fr. czyby nie zechciał dzieła tego na język polski przetłómaczyć; gdyż w takim razie przysyłałby mu pojedyncze arkusze w miarę jak z druku wychodzić będą; tym sposobem dzieło to mogłoby wyjść współcześnie w języku angielskim i polskim. Nie wątpimy że znakomite to dzieło, równie ważne dla rolników jak i dla badaczów przyrody, znajdzie u nas odpowiedniego nakładcę.

— Z powodu obchodu w Ferarze, 400 rocznicy urodzin Ariosta, p. Matakiewicz sędzia powiatowy w Niepołomicach, pragnąc przypomnieć Włochom jak literatura ich była niegdyś w Polsce cenioną, przesłał za pośrednictwem poselstwa włoskiego w Wiedniu, komitetowi obchodu jubileuszowego, przekład „Orlanda szalonego“ dokonanany przez Piotra Kochanowskiego, który przy przekładzie 25-ej pieśni życia dokonał. Komitet umieścił nadesłany sobie przekład w bibljotece miejskiej w Ferrarze.

— Ponieważ Jan Matejko nie przyjął ofiarowanej sobie, korzystnej i zaszczytnej posady dyrektora akademii sztuk pięknych w Pradze, nie chcąc porzucić Krakowa, powstała w tem mieście myśl uczczenia tego czynu, jak równie i dotychczasowych zasług słynnego malarza wybiciem medalu. Wielbiciele talentu Matejki poparli tę myśl, i d. 24 b. m. deputacyja złożona z kilkunastu osób, doręczyła artyście medal w trzech egzemplarzach: złotym, srebrnym i bronzowym. Na jednej stronie medalu jest popiersie Matejki w profilu, otoczone napisem: „Jan Matejko w Krakowie rok 1875,“ na drugiej stronie wśród wieńca wawrzynowego napis: „Nową chwałą kraj przyozdobił“ w około wieńca zaś: „Malarzowi historycznemu rodacy.“

— Najnowszy obraz Matejki, przedstawiający zabicie króla Przemysława przez Brandeburczyków, został ukończony, i ukazał się na czas bardzo krótki na wystawie sztuk pięknych w Krakowie; już bowiem znalazł się nań nabywca, z zagranicy!

— Dyrektor Instytutu Muzycznego zawiadomionym został listem wdowy po ś. p. Schmidt de Bergu, niegdyś profesorze muzyki przy szkołach rządowych w Kijowie, z którym dyrektora łączyły stosunki artystyczne i przyjacielskie, iż tenże w testamencie swym zapisał na instytut warszawski kwotę rs. 3,000, która to suma ma być złożoną w banku rządowym i procent od takowej ma posłużyć jako stypendyjum pod imieniem testatora, na kształcenie się jednego z biednych uczniów w tymże instytucie.

— W Paryżu zmarł niedawno Jan Carpeaux, jeden z najznakomitszych rzeźbiarzy. Carpeaux jest twórcą sławnej gruppy symbolizującej „taniec,“ a postawionej na frontonie teatru Opery. Prawdziwe to arcydzieło, ta gruppa. Carpeaux, wielki artysta, o mało nie umarł z nędzy; był bez grosza, bez kawałka chleba, i w dodatku złożony chorobą; książę Stirbey wziął go do siebie i utrzymywał do śmierci. Carpeaux nie umiał pamiętać o sobie, nigdy nie myślał o przyszłości, pozwalał się obdzierać każdemu, a przytem żył niedbale jak prawdziwy cygan. Miał on w sobie coś podobnego do Veronesa i do naszego malarza Grottgera; lubił życie waryjackie, marnotrawne, i dużo zarabiając, zawsze był bliższym nędzy niż dostatku. Przytem był nieszczęśliwy w rodzinnem pożyciu; jego żona, niezdolna zrozumieć tej natury artystycznej, zawziętą toczyła z nim wojnę; wytaczała mu procesa, sądownie zabierała mu dochody, i starała się o separacyję. Od dwóch miesięcy Carpeaux rozchorował się na kamień, i śmierć była dla niego prawdziwem oswobodzeniem. A jednak wśród okropnego konania, kilkakrotnie zawołał: „Ach! życia jeszcze! życia!“

Ekscentryczny ten człowiek we wszystkiem odróżniał się od innych ludzi; dumny i pogardliwy w biedzie, był wielkim demokratą na szczycie sławy, z każdym biedakiem żył za pan brat, i nieraz w psotach współzawodniczył z paryzkimi ulicznikami.

— W Dorpacie niedawno ukazały się dwie rozprawy naukowe, napisane po niemiecku przez Polaków w celu pozyskania stopnia doktora medycyny. Pan Antoni Jakowicki traktuje o wielce interesującem dziś lekarzy przelewaniu krwi cudzej do wycieńczonego organizmu; rozprawa jego nosi tytuł: „Zur physiologischen Wirkung der Bluttransfasion.“ Pan Justyn Zielonko, napisał rozprawę o chorobliwym rozroście serca, zatytułowaną: „Pathologischen-anatomische und experimentelle Studien über Hypertrophie des Herzens.“

— Rząd gubernijalny piotrkowski zbiera dane statystyczne, tyczące się przemysłu i działalności fabrycznej gubernii. W tym celu za pośrednictwem władz miejskich tego fabrycznego zakątka naszego kraju, ściąga od właścicieli zakładów przemysłowych szczegóły tyczące się produkcyi w ich zakładach. Czynność tego ściągania rozpoczęła się w m. *Łodzi* gdzie fabrykanci tkacze (posiadający w swych warsztatach co najmniej 4 stoliki, zaopatrzeni zostali w odpowiednie blankiety.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. *Dobk.... w Kijowie.* Opłata w kwartalna wynosi rs. 2, należy się przeto jeszcze kop. 75.

P. *Mingiel.... w Dowgiellach.* NN. 38 i 39 powtórnie posyłamy.

Pani *Melanii Suz...* Opiekuna na kwart. bież. posyłamy. P. *Adamowi Tark... w Szpanowie* Nr. 39. P. *Władys. Hop.... w Wilnie* Nr. 36. a P. *A. Biel.... w Petrowsku gub. Ekaterynosławskiej* Nr. 31 posłany powtórnie. P. Biel. posyłamy też po raz drugi książkę do czytania dla dzieci.

P. *F. Eysy... w Owruczu.* Upraszamy o spełnienie przyrzeczeń, a także przypominamy się o korespondencyją.

P. *Faust. Swider... w Żarkach.* Polecamy się łaskawe pamięci, prosimy o korespondencyje, bo dział ten chcielibyśmy jak najbardziej rozszerzyć w Opiekunie. Przy tej sposobności zanosimy gorącą prośbę do wszystkich pp. prenumeratorów naszych prowincyjonalnych, aby wiadomościami ze stron swoich, dzielić się z nami raczyli. Dział to bardzo ważny jako odbijający wiernie stosunki miejscowe, a tylko przy pomocy wspólnej, da się z korzyścią prowadzić. O stylowe obrobienie nie chodzi nam wcale, to bierzemy na siebie—o fakta głównie prosimy.

Autorowie i nakładcy którzy życzyć sobie będą iżby o ich pracach lub wydaniach wzmiankowano w „Opiekunie Domowym“, raczą nadsyłać do Redakcyi egzemplarz dzieła wydanego. Oceny każdej nadesłanej nowości, w jak óajkrutszym czasie pomieszczane będą w piśmie naszem.

Дозволено Цензурою. Варшава 23 Октября (4 Ноября) 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.